

Tow. Przyjaciół Nauk w Przemysłu.

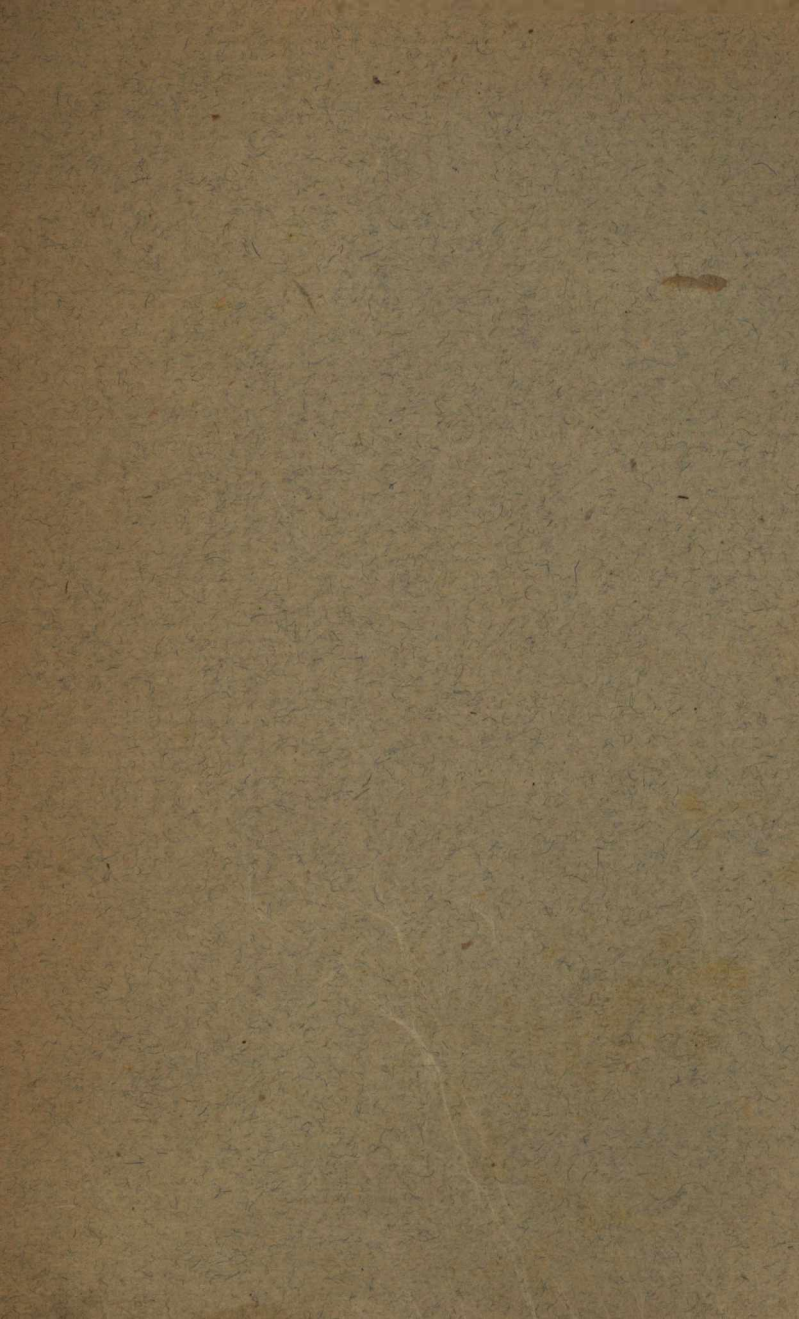
3275

D

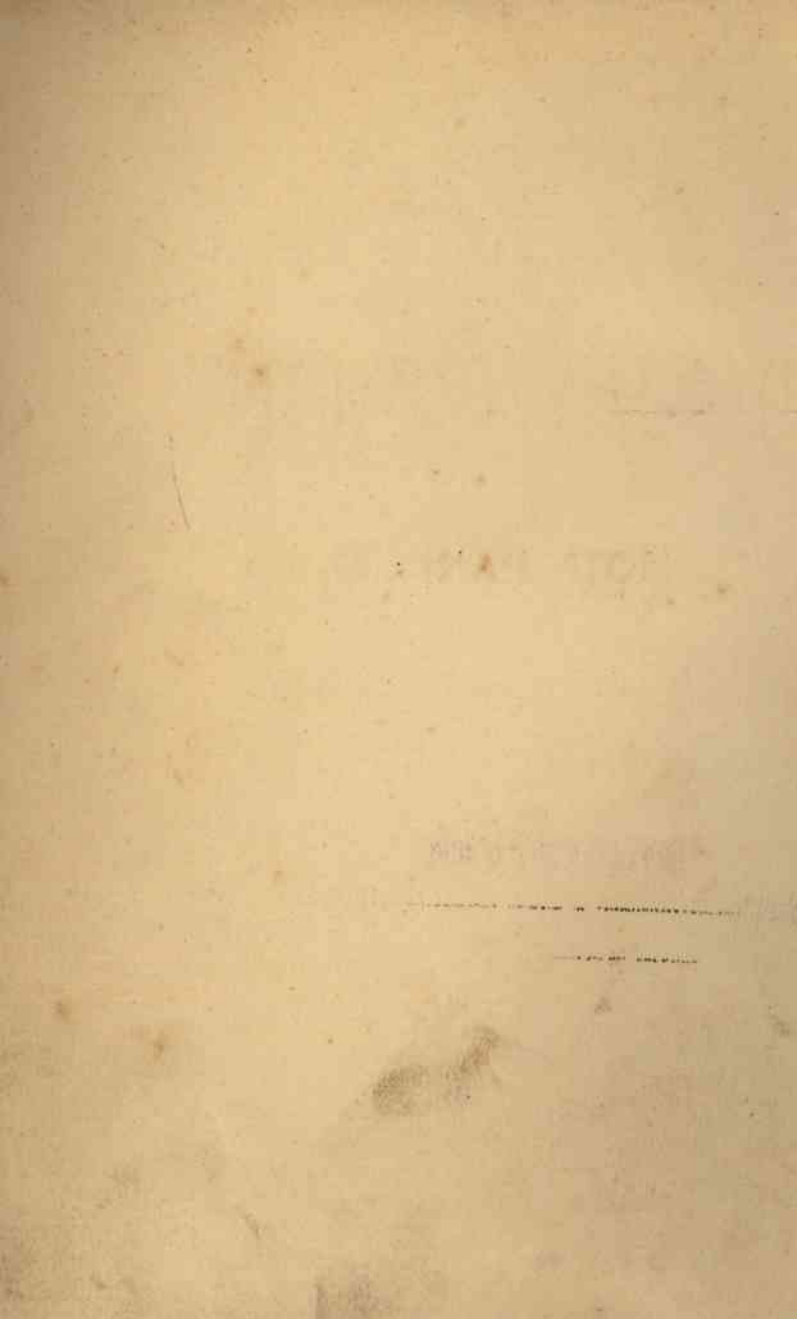
VI-2-35



1923



MOJA PANI



623969

TEKTANDER

MOJA PANI

STUDYUM Z NATURY

PRZYCZYNEK DO PSYCHOLOGII
KSIĘŻYCH GOSPODYŃ

~~BIBLIOTEKA~~

~~WZRODZENIE WIELK. UŚ. W KRAKOWIE~~

Tow. Przyjaciół Sank w Poznaniu

3215

D

M-2-35

POZNAŃ 1911

CZCIONKAMI DRUKARNI I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA



1000182578

A-20687



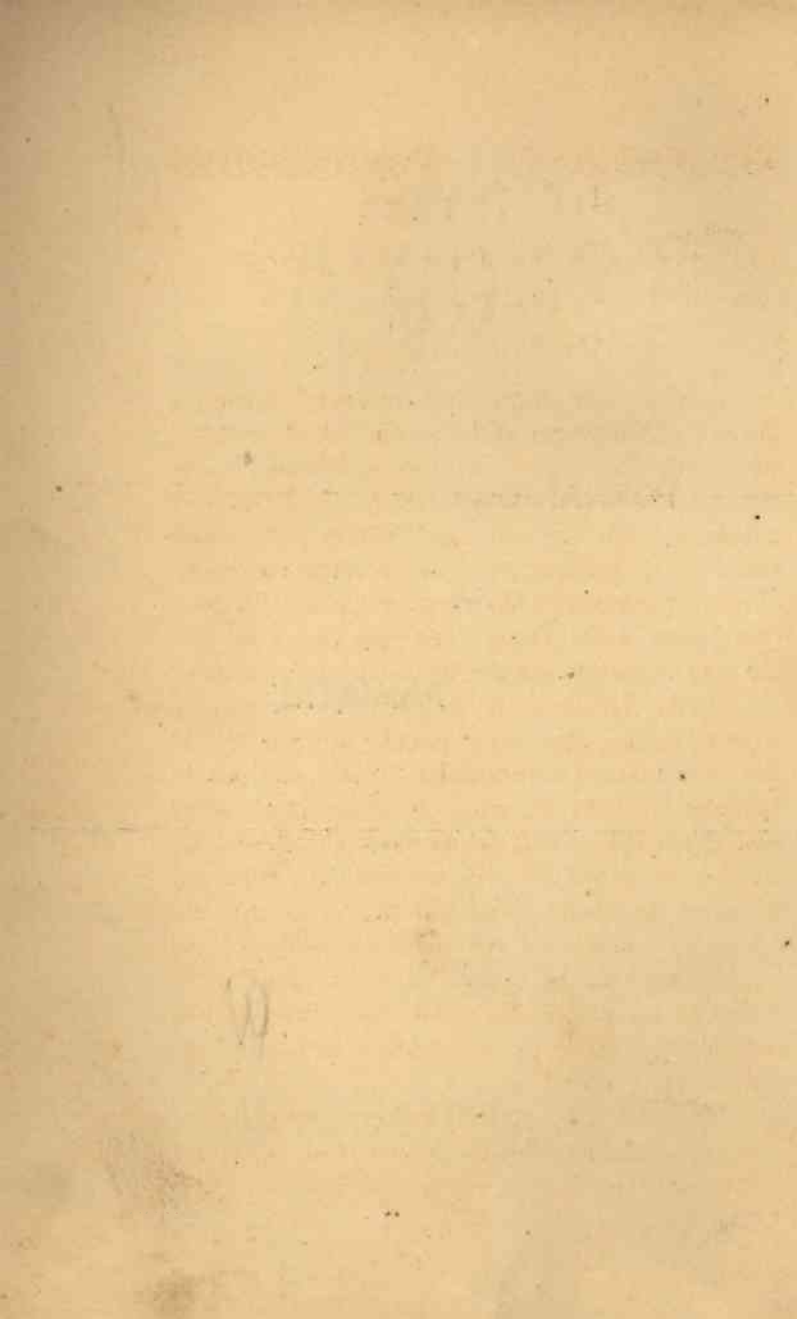
Liberat. 13a

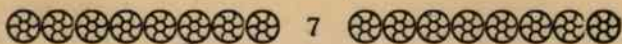
K 1160/56/3832

POZNANIOWI

NA

PAMIĄTKĘ





BIBLIOTEKA

URZĘDNIK: TOWARZYSTWA: UB: w KRAKOWIE

PRACA IV

PRZESTROGA

Gdybym na wstępie był zamieścił fotografię Mojej Pani, zbyteczne byłoby wszelkie słowo wstępne. Ale każdy ma prawo do swej podobizny, ja zaś nie chciałem prosić Mojej Pani o pozwolenie na publikację, ani też nie zamierzałem robić konkurencyi w umieszczaniu sensacyjnych widoków »Pracy« poznańskiej lub warszawskiemu »Światu«. Przestrzedz więc muszę przed zawodem tych, którzy przy kupowaniu książki powodują się jej tytułem.

Przed czterema laty jechałem koleją żelazną w towarzystwie paru osób, wśród których był też pan Kazimierz Dziembowski. Tenże słysząc, że zabieram ze sobą na zimę do Monachium swoją gospodynią, uśmiechnął się znacząco, jakoby wiedział, w jakim to czynię celu. Po pół roku, gdy ją przyjął do siebie na służbę, przekonał się, że domysł nie był trafny. Ponieważ zaś ludzi domyślających się na ten sam temat jest więcej, więc zawczasu stwierdzam, że rzecz moja nie przedstawia żadnej w tym rodzaju sensacyi, gdyż nie będzie w niej ani słowa z dziedziny erotyki.

Niech też nie przecinają dalszych kartek, tylko zawczasu książkę oddadzą księgarzowi ci, którzy odpowiednio do swego stopnia inteligencyi i kul-



tury nie mogą pojąć, jak można pisać o ludziach nie tylko nie sławnych i nie będących żadnymi bohaterami, ale o pospolitych w ich mniemaniu postaciach i do tego osobach najniższego stanu. Na takich nie jest ta książka obliczona. Jeśli ją wbrew mej przestrodze będą czytali, to pójdzie im jak tym, którzy się struli pierwszą moją tego gatunku próbą.

Przed 5 laty w nieboszczyku Kuryerze Poznńskim napisałem feljeton p. t.: Moja Baba. Tam do rozmaitych faktów dodałem też parę żartów, a pomiędzy innymi i ten, że Moja Baba otwiera w dni targowe okna w mieszkaniu i krążące w powietrzu pierze chwytą na pościel. Za jej przykładem otwiera się w sąsiedztwie okna, aby w tym samym celu nawpuszczać do mieszkania pierza. Żart ten jak i inne jemu podobne wzięty na seryo rozmaite ptasie główki i popisały liczne anonimy, pełne świętego oburzenia. Jeden z nich brzmiał jak następuje:

»Mogę się dziwić, że jak jest inteligentna osoba ksiądz może się dać powodować babą, która powinna mieć respekt, opisywać jej bieg życia? czy na to, żebyśmy w jej ślad wchodziły. To nigdy nie nastąpi. Bo u nas jest staropolska gościnność co do przyjęcia, dla każdego są drzwi otwarte, każdy może przyjść z prośbą lub radą, a nie dopiero wtęczas, jak baba pozwoli, bo inaczej dostać się nie można do księdza. Najpierw jej trzeba powiedzieć, jaką się ma prośbę albo interes, tak dalece są nasi księża oszołomieni przez te obce baby.

A baba niby też to kupi szafę za rabatowe marki do kuchni, jak się autor wyraził, a być może, że po towary chodzi do innowierców, bo one tak umieją robić. Mogę się czuć obrażona, bo ja przecież okien nie ofieram, żeby mi pierza naleciało, jak to baba czyni, żeby mogła robić poduszeczki, z takiego pierza nawet bym nie przyjęła, dosyć jest biedaków, żeby sobie pierze pozbiali, bo ja mam dosyć pościeli, jeszczebym mogła biednemu podarować, ale to jest taka chytrność takiej baby, żeby się tylko księdzu przypodobać, ale z innej strony dla siebie wszystko obraca na swoją korzyść, znam ja wiele takich księżych gospodyń«. L. O.

Chociaż więc tym razem nie ma żadnego żartu ani wymysłu w mojem studyum, nie chcę, aby znowu powstało święte zgorszenie, i z góry tę książkę stawiam na indeksie dla tego gatunku osób. Nic im to zresztą w moich oczach nie ubliża, że nie mają zrozumienia dla tego rodzaju literatury. Takie organizacye umysłowe mają też niejedną dobrą swoją stronę: im mniej posiadają ludzie inteligencyi, tem mniejszą mają zdolność cierpienia. Ale i po za tą kategorią osób znajdują się ludzie, którzy zdziwią się, że taki obrałem sobie przedmiot zajęcia i pracy. Mianowicie nie będą wiedzieli, co o tem zjawisku literackiem sądzić, póki nie przeczytają krytyki w gazetach. Na ten czas bezradności niech im służy refleksya, że jak można wymalować dziewczynę wiejską, wyrzeźbić postać rzemieślnika, lub opisać życie chłopów, a przytem być i pozostać artystą i stworzyć dzieło sztuki, tak samo można wziąć sobie inny motyw

z niewyczerpanego źródła życia i obrać dlań dowolną formę. Nie tylko bowiem nadaje się do przedstawienia co jest wzniosłe, bohaterskie, poczciwe lub słodkie, ale i to, co szorstkie i silne, zwłaszcza jeżeli jest to motyw nie zużyty jeszcze.

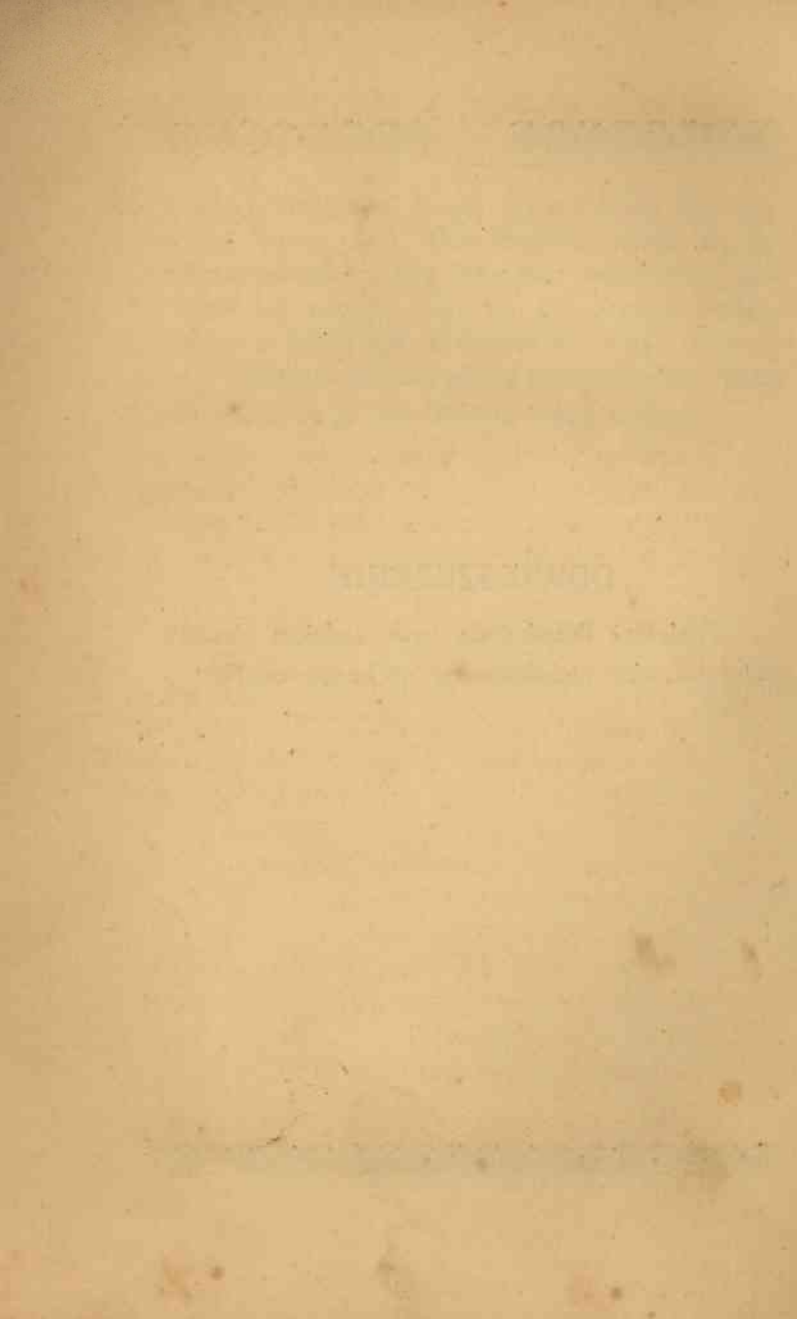
Wolałbym jednak, aby ta kategoria ludzi także nie zabierała się do czytania mego studium.



OBWIESZCZENIE

Ponieważ Przedmowa bywa ludziom niesympatyczna, więc umieściłem ją na końcu książki.





§ 1. Wejście Mojej Pani w moje życie.

Jak inne wielkie wypadki w życiu nie rzucają cienia przed siebie (wbrew sentencyom rozmaitych mędrców), tak też i wejście Mojej Pani w moje życie nie zapowiedziało się żadnemi nadzwyczajnemi znakami.

Zapukała do moich drzwi, weszła i oświadczyła:

— Słyszałam, iż ksiądz potrzebuje gospodyni.

Służyła u mego poprzednika, a przed tem w kilku znajomych mi domach. Polecała ją też Siostra Barbara. Zatem rekomendacya była wystarczającą.

Odpowiedziałem też prawdopodobnie na to:

— Dobrze, na 1. października czekam.

I przyszła.

Tak mi poszło jak innym ludziom, którzy ani wiedzą, jak się ożenią albo wieś kupią, a potem całe życie temu się dziwią.

I została u mnie przez długie 10 lat.



§ 2. Objaśnienie tytułu.

Jechałem raz jesienią z ks. Wawrzyniakiem z Rudczan do Krutyny. Zimno było, mgliście i dżdżysto. Z peleryn naszych, kapiszonów, twarzy ściekały wielkie krople wody.

— Co za szkaradny deszcz! — mruczałem.

— To nie jest deszcz, to jest mgła — odrzekł mój towarzysz.

— Ale przecież to wygląda jak deszcz, pada ciągle i krople są duże.

— Ale to nie jest deszcz, tylko mgła.

— I zmoknie się zupełnie, jak tylko moknie się na deszczu.

— A jednak jest to mgła, a nie deszcz.

Tak samo jest z Moją Panią. Wygląda jak baba, chodzi jak baba, myśli jak baba, postępuje sobie jak baba, a ile razy powiedziałem na nią: Baba, to się oburzała w niebogłosość:

— Ja żadną babą nie jestem, ja tam nigdy po żebrocie do Księdza nie przyjdę.

Więc dałem nagłówek: Moja Pani, chociaż miało być i jedynie jest słusznie: Moja Baba.

Możeby się też ten lub ów czytelnik zgorszył z mej rzekomej trywialności, gdybym książce dał taki tytuł. Niejeden bowiem w literaturze nie chce nigdy spotykać się z rzeczywistością.

A może też ona rzeczywiście była moją panią...



§ 3. Nazwa, pochodzenie i przeszłość.

Ponieważ ludzie myślą, że wiedzą, z kim mają do czynienia, gdy usłyszą imię i nazwisko człowieka, więc od tego zaczynam; choć to zupełnie do rzeczy nie należy.

Jest bowiem z babą jak z tymi wszystkimi, którzy ukazują się jako pierwsi ze swej rodziny i nazwiska — nagle na powierzchni ziemi, bez przeszłości żadnej.

Każdy wie, że mieli rodziców i dziadów, lecz że o nich nikt nigdy nic nie słyszał, więc obojętna jest, czy oni nazywają się Nowiccy, Nowaccy, Przybyłscy czy Marciniakowie, skoro żadne z tych nazwisk nic nie mówi specjalnego jak tylko o pochodzeniu z ludu. Z jednym nazwiskiem jest im tak samo do twarzy jak z drugim. Każdę stosowne i każde niestosowne.

Jedynym też dokumentem baby była karta z urzędu ubezpieczenia na starość do wlepiania znaczków. Z niej wynikało, że urodziła się 18. sierpnia 1856 roku w Żabikowie pod Poznaniem.

Imię ma jak barwne, wonne, urocze kwiecie.

Kto ją rodził, jakie losy przeszli jej przodkowie, czy istnieje jeszcze jej chata rodzinna i kto ją posiada — o tem nie wspominała nigdy.

Nie dała się też nakłonić, by pojechać obejrzeć swe rodzinne kąty.

Co przeszła w życiu, jak spędziła lata dzie-

cięce, czy w młodości miała marzenia i porywy, o tem nigdy nie było mowy.

Jeśli wracały w jej pamięci chwile dawnych radości lub smutków, to miała je dla siebie na swoją własność. Nawet o tych zdarzeniach w życiu, które są jako kamienie przydrożne wśród naszej pielgrzymki doczesnej, mówiła rzadko. Ledwo czasem wspomniała nazwisko swoich chlebobawców.

Zostało jej jednak przywiązanie, które przemogło inne przeciw i obok dążące wpływy: przywiązanie do stroju wiejskiego.



§ 4. **Aparycyja zewnętrzna.**

Nosi się po wiejsku, na głowie czepek, na szyi sznury różnokolorowych koralów, związane wielką barwną wstęgą w tyle. Kabaty posiada rozliczne, jak i spódnice i chustki. Od wielkiej parady kładzie tego na siebie bez końca, aż szeleści. Wtedy też koralów i wstążek przybywa na szyi.

Podniesiona w ten sposób do ostatniej potęgi okazałości mogłaby słusznie wzbudzić pożądlivość członków naszego Towarzystwa ludoznawczego.

Ogół w mieście — jak twierdzą — nie szanuje służących, chodzących po wiejsku i stąd powoduje u nich zmianę strojów. Baba o takie sądy niedba. Wie, że znaczy się mocą swej siły wewnętrznej i zniewala wszystkich, wchodzących

w rachubę, przymiotami swemi do uznania i szacunku.

Na suknie i kabaty wybiera mocne sukna, rypsy, adamaszki, jedwabie i atłasy.

Myślałem, że zwykle używa się takich materyi tylko na obicie mebli lub na portyery i makaty, ale ks. Seichter z Wirów mówił mi, że jego gospodyni też tylko takich materyałów na suknie używa. (Widocznie więc baba pod tym względem nie stanowi wyjątku.)

Tak przyodziana idzie na zebranie Dzieci Maryi, na pogrzeby lub do teatru. Wątpię, iżby wtedy która z koleżanek odważyła się do niej zagadać.

Na targ i na codzień na ulicę bierze strój mniej podpadający, skromny i poważny. W domu zaś występuje w kaftaniku lub w staniku, zwykle w krótkich rękawkach od koszuli, często bez fryzki, z gołą głową o cienkiem poszyciu przygładzonych włosów i z ogonkami niewinnych warkoczyków, zakreconych na tyle głowy, w pantoflach, lub bamboszach, a latem boso nieraz — istne babsko!

Jeszcze więcej powagi niż strój dodają jej okulary.

Gdy ją zobaczył po raz pierwszy Ks. Warzyniak, natychmiast zauważył, że szkła babie dodają ogromnie wiele powagi i postanowił zaraz swojej Annie po powrocie do domu okulary na nos kazać przyłożyć.

Po przez te okulary patrzy badawczym wzrokiem. Wiele osób sądziło, iż ona ma w nich szkła ciemne. Tak nie jest. Oczy jej tylko wywołują to wrażenie, ponieważ dla przytępionego słuchu patrzy tak ostro i groźnie.

Wielu też przybyszów onieśmielonych od razu od drzwi odchodzi. Śmielsi jednak zdobywają się na odwagę i pytają:

— Czy Ksiądz jest w domu?

— Czego? pyta się głosem ostrym i wzrokiem surowym.

— Czy Ksiądz przyjmuje? — powtarza pytający daleko już pokorniej i ciszej.

Skutkiem tego baba już nic nie słyszy, tylko patrzy na przychodnia, on na nią i przez to wzbudza w niej podejrzenie, że przyszedł ze złym zamiarem pożyczania odemnie pieniędzy. Zaraz więc baba woła:

— W biurze jest przy św. Marcinie nr. 69. I drzwi zatrząskuje.

Do tego jednak, że mocno niedosłyszcy, nie przyznaje się nigdy. Nawet taką insynuację uważa za obrazę lub niegodziwość.

Gdy gość przyjdzie, a ja chcę coś zamówić, tak aby nie słyszał i nie robił ceremonii, i w tym celu wychodzę do drugiego pokoju, aby podejść do niej i mówić do ucha, doprowadza ją to do pasy:

— Przecież ja głucha nie jestem — woła na mnie oburzona.

Czoło zmarszczone ma zawsze jak u osób, które zamyślają się wiele i badają stan rzeczy bieżących z natężeniem umysłu. Wyżłobione dwie fałdy zwieszają jej się od kątów nosa do ust, a usta wąskie, mianowicie dolna warga, sprawiają, iż całość robi wrażenie niezadowolenia i zamroczenia umysłowego.

Zwracano mi uwagę, iż podobna jest do Jadwigi Słumińskiej, tej co siedzi w szafie na rogu Wodnej i Ślusarskiej i sprzedaje wiktuały. Ale podobieństwo między temi paniami jest niewielkie. Baba nie ma tej postaci wysokiej ani twarzy pociągłej ani tak wybitnych rysów. Wspólny mają tylko surowy, badawczy wyraz twarzy i okulary. Po zatem baba ma twarz jak pięść, Słumińska jak otwartą rękę.

Patrząc na twarz baby, postać całą, kształty, ruchy, nikomuby na myśl nie przyszło, że są osoby, które posiadają takie przedmioty w innem wydaniu, i że takie rzeczy mogą stanowić pewien krok i pewną ponętę.

Gdy się cieszy z czego, pokazuje dwa szeregi zębów i mówi więcej niż zwykle. W ogóle jednak mówi mało i nie czuje potrzeby mówienia. Jej jednakże wydaje się, że onaby chciała i mogła mówić, tylko ja jej nie daję po temu sposobności.

Dettloffowi skarżyła się, że nic do niej nie mówię jak tylko: kawy! — obiad! — letniej wody do golenia! — kolację!

Coprawda tak też bywa zwykle.

Dzwonię. Wchodzi.

— Kawy!

— Tu?

— Tam! — To znaczy w innym pokoju.

Głos ma odpowiedni do swego usposobienia, pochodzenia i siły. Nie przypuszczam, iżby ktoś się spodziewał usłyszeć inny głos z jej ust. Taki jest właściwy. Nie potrzebuję też opisywać go obszernie, bo główną rzeczą jest treść jej słów.

Tak samo figurę ma nie wysoką ani nie niską. Taką sobie. Zwyczajnie jak baba.

§ 5. Przymioty umysłu.

Umysł ma otwarty, zdolny do rozwoju i przedsiębiorczy. Nie wyobraża sobie, iż wszystko już umie, lecz przeciwnie pragnie nauczyć się jak najwięcej. O ludziach, którzy ją czegoś nauczyli, wspomina nawet z wdzięcznością i cieszy się, że skorzystała z ich wiedzy. Pojmuje nader łatwo.

Za przykład niech posłuży fakt, że podług mego opowiadania potrafi przyrządzić potrawy nowe, które w podróży zwróciły moją uwagę. Umiała też sobie rozłożyć pracę. Liczba gości nigdy jej nie przerażała.

Ztąd też wiele rodzin znajomych prosiło ją na gościnne występy.

Gospodyni zawołana! W domu robiła wszelkie konserwy, sama przygotowywała sobie do nich puszki i lutowała je, marynowała mięso na wędliny, fabrykowała nalewki. Szczególną miała zdolność do pieczywa. Dość powiedzieć, że pani Pfitznerowa, żona sławnego na wszystkie trzy zabory cukiernika, chcąc zjeść w domu lepszy tort lub zawieść takowy krewnym, uciekała się do baby.

Sama też prała i prasowała starannie, frote-rowała posadzki i sporządzała bieliznę. Jednym słowem była »dziewczyną do wszystkiego«. Tem tylko się różniła od egzemplarzy znanych pod tą nazwą, iż w rzeczy samej umiała zrobić wszystko.

Na jednym punkcie tylko była zarozumiała: że mało tłucze. Doskonałość jej jednak znów tak wysoko nie sięgała. Stwierdzić mogę, iż do każdego tuzina co parę lat trzeba było dokupywać kilka kieliszków.

Pilną była i pracowitą, tylko rano wstawać nie lubiła. Widocznie podzielała zdanie: »Kto rano wstaje, temu się cały dzień spać chce«.

W pomysłowości nie ustępowała żadnym wybitniejszym umysłem swej epoki.

W czasach, kiedy następca tronu pruskiego wynalazł nowy rodzaj guzików do mankiet, a p. Skórzewski z Lubostronia sławny swój euskol, (który wedle ogłoszeń działa w chorobach płuc, kaszlu, astmie i katarach u ludzi, a goi także gru-

czoły, nozdrza i afekcyę płuc u koni), wymyśliła ona oryginalną łąpkę na muchy.

Ponieważ nie zamyśla opatentować swego wynalazku, więc podaje go tu do naśladowania.

Bierze się salaterkę czworograniastą i wlewa do niej kompot, o ile możności słodki, przeznaczony na obiad. Na to kładzie się talerzyk okrągły, tak iżby salaterka na czterech rogach miała otwory i stawia wszystko przed obiadem na okno lub na inne miejsce, gdzie znajduje się najwięcej much. Po paru godzinach skutek jest niechybny. Niestety kompot staje się nie do użycia.

§ 6. Charakter wewnętrzny. — Sympatyę i antypatyę.

Przyszła do mnie skryształizowana, skończona, gotowa. I tak jak przez 10 lat nie zmieniła nic ze swego wyglądu, tak nie odstąpiła na jotę od swoich zasad. Mimo wielu stron typowych jest silną indywidualnością. Nie ma w niej zaś nic banalności, nigdy nie nudzi słowem, uczynkiem ani wyglądem swoim. Może gniewać, może być siłą, która zniewala, może wzbudzić wzruszenie swojemi pojęciami lub objawami woli, ale na obojętność względem siebie nie pozwala.

Prócz dążności do wiedzy i produktywności najsilniej uwydatnia się w niej dążność do konse-

wości swojej osuwa się coraz dalej, dalej, aż ostrze spada z talerza i płami obrus.

To postępowanie noża, codzien się powtarzające, uważa baba za zatwardziałą niegodziwość i osobistą niechęć. Zapamiętuje się wprost z gniewu, ale nic już nie mówi, tylko zbiera krople sosu z obrusa i kładzie nóż na talerzu.

Tak samo walczy z niegodziwą urną, która chwyta uszkiem swem jedno z piórek pióropusza przy ścieraniu kurzu. Więc baba szarpie ją i ciągnie, aż urna się wywróci lub spadnie.

Gdy chce palić w piecu, parawanu nie odstawia, tylko go posuwa. Gdyby był coś poczywego, toby stał, gdzie go posuną. Czemu nie stoi, tylko upada i odbija się lub utracą sobie ozdóbkę!? To już jego wina.

Podobnie wymachuje swoim berłem z piór nad buteleczkami w apteczce, aż wywracają się, leżą i ciekną. Takie już są utrapieńce. To też ona ich nie podnosi nigdy. Jeszcze by też!

Ponieważ podlewała kwiaty tak bezwzględnie, iż gniły, zakazałem jej nimi się zajmować. Wtedy je znienawidziła.

— Ten kaktus to się aż ugina od wszów, — powiedziała, wskazując na kałę, która opuściła swe liście w zbyt ciepłej atmosferze.

Z szczególną nienawiścią walkę toczy z rzeczami, sprowadzonymi wbrew jej woli do domu, lub takimi, których zakazano jej się dotykać. Upa-

truje w nich z podwojoną uwagą wszelkie ułomności i ma satysfakcję, gdy wykaże ich błędy.

Tak samo sobie postępuje w obec ludzi. Sympatyę jej mają osoby starsze, cnotliwe i o ile możliwości zameżne, osobliwie zaś mężczyźni. Zatem osoby z towarzystwa, zwłaszcza utytułowane (jeśli coś mają, a nie są »na wycugu«), majątniejsi obywatele ziemscy, dalej adwokaci i lekarze, oraz starsi księża są »hoffähig«. Reszta ludzi potrzebowała z mej strony wielkiej protekcji lub też użycia gwałtu, aby ich jakokolwiek przyjęła. (O ty sławiona gościnności ludu polskiego! — A może też baba sądziła, że kto w pojęciu świata niczem nie jest, ten sam sobie jest winien?!)

Szczególnie dobrą markę mieli nieboszczyk hrabia Stanisław Czarnecki ze Siekówka i książe Zdzisław Czartoryski, a do dzisiaj mają ją ksiądz radzca Mojzykiewicz, prof. Rutkowski i wuj Władysław Łubieński.

Na ich przybycie brała — bywało — nawet atlasową czerwoną sznurówkę. Wtedy humor miała świetny i przychylnie zapatrywała się na świat i ludzi. Nieraz tego rodzaju gości kazała mi zapraszać albo pytała się, czemu ich nie było ostatnim razem. N. p. prof. Rutkowskiego z synem.

— Pan profesor to taki już mądry, — zapewniała mnie — że o wszystkim z nim można rozmawiać, a od młodego to niewinność aż pachnie.

W ogóle zaś lubiła wesołość, biesiady i wy-

stawność, kwiaty, pieśni i muzykę, byle nie często — lecz jako przebłysk życia. I chwilom tym zachowywała zawsze wierne wspomnienie.

— Już tak nie jest wesoło, jak gdy książę pan był — mówiła, gdy niedobitki z wczasów Sieleckich i Ruhberskich »Festspiele« po raz pierwszy zebrały się po śmierci księcia.

(Ogółem zaś miała usposobienie jak ziemia, ludzie i zwierzęta: zależne od atmosfery. Gdy bowiem słońce świeciło, zwykle wesoła była i swobodna, podczas słońca kwaśne i nieznośne miała usposobienie. Tylko tak jak większość ludzi, nie znając swej zależności od przyrody, nie wiedziała, jakie są tego przyczyny.)

Za to, gdy kogo nie znosiła, lub coś sobie u kogo uwidziała, zaraz to dawała mu odczuć. W Monachium znienawidziła już po tygodniu sędziwą baronową Manteuffel, u której mieszkała, gotując dla nas obojga. Tak się odzwyczaiła od stósowania się do woli innej jak do swojej własnej, a tem więcej do woli drugiej kobiety. Posądzała baronową nawet o zamiary skrytobójcze. To też lata całe nigdy inaczej nie ustawiała jej fotografii na mojem biurku, jak obracając ją regularnie twarzą do ściany.

Nie znosiła też rozmaitych osób z mojej rodziny. Czasem się omyliła i nie spamiętawszy sobie twarzy, dokuczyła zupełnie innej osobie, aniżeli chciała.

Ogółem co do krewnych utrzymywała, iż gdybym nic nie miał, toby o mnie ani nie wspomnieli.

Nie lubiła też bardzo dłuższych wizyt. Chcąc usposobić ją korzystnie dla gościa i dla siebie, zaraz musiałem oświadczyć na wstępie, że ten pan dzisiaj już wyjedzie, a najpóźniej jutro. Pierwszego bowiem dnia i drugiego starała się być do pewnego stopnia uprzejmą, potem coraz mniej, aż gościowi i mnie wręcz poczęła dokuczać.

Mnie osobiście jest życzliwą. Pragnie, bym był zdrów i młodo wyglądał, a gdy spostrzeże, że »wy-patruję staro«, wtedy mnie za to gromi. Gdy zaś dłużej zabawię w łazience, puka, pytając strwożona, czym nie utonął.

Troska się o mnie także, gdy wyjadę. Pytała się wyraźnie, czy ja tylko czasem nie jeżdżę temi pospieszonymi pociągami, co się ciągle zderzają.

Nie znosi jedynie choroby u mnie. Gdy pierwszy raz byłem chory, zdawało mi się, że zjadła lub zażyła coś niedobrego. Zaledwie bowiem doszła do mojego pokoju sypialnego, musiała zaraz wracać do kuchni. Ale pokazało się, że była to tylko nienawiść do chorych. Oświadczyła mi niebawem, że kto chory, ten nie je. Wyrok ten dla mnie bardzo był tragiczny, gdyż właśnie przeszedłszy paroksyzm febry, rozdrażnienia nerwów lub bólu zębów tem większy miałem apetyt. Są podobno osoby, które mają wrodzone upodobanie do pielęgnowania i opiekowania się ludźmi chorymi

lub cierpiącymi. Do tych ona nie należała. A co ją kosztowało chodzenie do apteki lub gotowanie herbatki, to sam najlepiej wiedziałem. Ona zaś twierdziła, że jestem do niczego, a na mieście opowiadała znajomym, że najmniej mi co jest, to zaraz udaję wielką chorobę.



§ 7. Zapatorywania socyalne.

Co do zapatorywań społecznych to niestety bynajmniej nie jest przekonana o równości stanów.

Nie znosiła, abym chodził do ludzi, których ona uważała za niższych odemnie. Obcowanie z nimi uważała za ponížanie się i pospolitowanie. Gdy raz po powrocie z wesela z domu przez nią potępionego tłumaczyłem jej, że tam był ten i ów, że byli tam hrabiowie z Wybranowa i inna wysoka szlachta i przewielebne duchowieństwo, orzekła:

— Niech tam! ale Księdzu to się nie godzi, to tam nie dla Księdza.

Odpowiednio do tego zachowywała się, gdy ktoś z tej kategorii przez nią nieuznanej przyszedł do mnie.

Raz wypadalo mi kogoś poczęstować winem. Przyniosła więc zamówioną butelkę z piwnicy, ale stawiając na stół powiedziała:

— To ostatnia.

Gdy potem ku memu zdziwieniu pokazało się, że z tego gatunku wina jest więcej, oświadczyła:

— Naumyślnie tak mówiłam, bo dla nich to dosyć.

Dla osób z wyższych stopni drabiny socyalnej, których ona przed innemi ceni, niczego jej nie żal, dla wielu innych wszystkiego. I materyału i trudu. Gotowała wedle stanu. (Pewne prawdopodobnie żadnego na nią nie wywierało wrażenia.)

Gdy zaś podczas dłuższej mej nieobecności w Poznaniu najpierwsza z dynastji patrycyuszowskich pochodzenia mieszczańskiego zaproponowała jej u siebie dobrze płatną posadę kucharki, przyjąć jej nie chciała i oświadczała znajomym, że »to tam nie dość wielki dom«.

Osoby z arystokracji były też jedynymi ludźmi, o których wspominała. One też jedynie służyły jej do zagajenia przemów okolicznościowych.

— Stary pan hrabia Sierakowski to zawsze mówił... Jak byłam u pani hrabiny Ostrowskiej.. — tak zaczynała swoje enuncyacye. Jedyny też dłuższy epizod, jaki w ciągu 10 lat mi opowiedziała, dotyczył śp. pani Barbary Mańkowskiej.

— Nieboszczka pani hrabina Mańkowska — opowiadała mi — w Częstochowie ślub brała, 8 biskupów aż tam było, a gości to aż 300. A w nocy, gdy jej się coś przypomniało, to zaraz zapalała świecę i pisała — (uzupełniając widocznie swoje pamiętniki).

Pozatem była, jak każdy człowiek, postępową konserwatystką.

§ 8. Stosunek do stanowych organizacji społecznych.

Tylko o potrzebie przynależności do nowoczesnych organizacji społecznych nie chciała nic słyszeć. Zupełnie się pod tym względem za mną nie wdała. Aż wstyd mi było, że tyle pisałem o kwestyi socyalnej, a jedyna osoba żyjąca w moim domu nie stósowała się do postulatów społecznych obecnej doby; zdobyłem się więc raz pod wrażeniem strejku mularzy na agitację.

— Czemu Rózia nie należy do stowarzyszenia służby żeńskiej?

— A cobym z tego miała?

— Najprzód kasę pośmiertną.

— Ja tam tego nie potrzebuję, odrzekła myśląc o swojej książeczce depozytowej i miejscu zakupionem na cmentarzu.

— A kasa posagowa, czy to nie dobra rzecz?

Zaczęła się tylko śmiać szyderczo.

— Jeśli nie to, to mogłaby Rózia wystąpić na zebraniu z wykładem!

— Ja tam za stara na to. Niech tam należą takie, co sobie dokazują i co są głupie! Dawniej tych stowarzyszeń nie było, a służba była lepsza.

Dzisiaj służyć im się już wcale nie chce, tylko po kilka razem siedzą i jeno na posługi chodzą.

Gdym jednak nacierał dalej i powtarzałem argumenty za organizacją, rzekła:

— Choćby mi zapłacili, to należeć nie będę. Już mi tam inni dosyć nagadali; ale ja już tam ten!

§ 9. Pojęcie władzy.

O władzach nigdy nie mówiła, chyba tylko z okazji podatków. Oczywiście miała to uczucie, że nie trzeba powiadać, co się ma, bo wedle samego pisma św. celnicy to zdzierycy, a u nas poza tem zawsze jeszcze niemcy. Zresztą miała o władzy to samo wyobrażenie co ja. Każda władza jest jak automobil; miła jest wtedy tylko, gdy ją się posiada, a u innych jest niedogodną lub nieznośną.

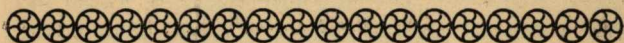
§ 10. Pozycja materialna.

Zalicza się do osób majątniejszych. Gdy przyszła do mnie przed 10 laty miała uskładanych 2000 marek. Dzisiaj dochodzi majątek jej do 7000 marek (a znajduje się w Banku Przemysłowców). Krewni też ją odpowiednio do tego respektują. Proszą ją na śluby i chrzty w kumotry. Wtedy przysyłają po nią doróżkę, a siostra jej, biedna kobiecina, musi

przyjść z Łazarza pieszo, by za nią statki u mnie pomywać w kuchni.

Tak to już jest na świecie.

Mimo zmysłu oszczędności nie posiada ani cienia chciwości. Jeżeli czego pragnie, to dla mnie, bym najwięcej dostał i miał. Oszczędza tak, że osobny rozdział musiałem napisać o tem. Raz stała przy stole, przy którym pisałem, i oświadczyła iż gdyby wiedziała, że potrzebuje, toby mi dała 1000 marek. Za każdą drobnostkę jest wdzięczna. Ilekroć podwyższam jej zasługi lub daję podarek na gwiazdkę albo wlepiam znaczki od ubezpieczenia, ogarnia ją wzruszenie.



§ 11. **Zamiłowanie oszczędności.**

Oszczędność jest jedną z gwiazd przewodnich jej życia i zawsze równym świeci jej blaskiem. Utrzymanie jej nic mnie nie kosztuje. Fusy pozostałe od mojej kawy nalewa wodą i wlewa do żelaznego garnka. To jest fundusz żelazny — nigdy nie wysychające źródło jej utrzymania. Ognia wiecznego niema (gaz go zastąpił), ale kawa wieczna jest. Gorąca, letnia, chłodna, — ale jest! To jest źródło jej życia, które podsyca jako kapłanka, czuwająca troskliwie nad stworzonym przez siebie bóstwem. To jest jej żywioł.

Do tej kawy używa mleka i bułki z masłem.

Ale czyni to tylko w charakterze dodatkowym, podnosząc niejako i uświetniając obrzęd. Siedzi wtedy przy stole tyłem do okna i pije z skupieniem, spokojem i powagą. Przytem myśli dużo i trawi równocześnie.

Na wielkie święta i w przystępie dobrego humoru piecze dla siebie pączki, placki i dziady. Uważa, że jej się to należy. Ale oczywiście przyczynę tych nadzwyczajnych wypadków przesuwają na mnie. Są też przypuszczenia, że czasem spożywa jakąś zupę lub zje w wielką uroczystość kawałek mięsa, ale przez 10 lat zupełnie na to pewnych nie zebrałem dowodów.

Gdy mnie nie ma w domu, nie gotuje wcale i z radością o tem opowiada znajomym. A te jej zazdroszczą.

Wobec mnie również kieruje się oszczędnością i uważa, abym zbytków nie robił. — Z resztek pieczeni obiadowej robi wieczorem potrawkę, a tłuszcz zlewa do garnuszka. Nazajutrz pozostały kawałek mięsa wyciąga ze sosu, miele na maszynie i daje w postaci pasztecika lub pieroga albo też farszeruje nim kalarepę lub ogórek kwaszony.

Kompot ten sam stawia tak długo na stół, aż zostanie jedna lub dwie gruszki, ślewki lub jabłka; wtedy otwiera nową puszkę lub butelkę i pozostałą ślewkę wpuszcza w środek salaterki dla urozmaicenia.

Ma zwyczaj, że do farszu nie tylko miele mięso

i bułkę, ale jeszcze i kości. Czasem dostanie się weń i większy gną. Ale w to ona nie wierzy, chociaż corpus delicti jej pokazuję za każdym razem. Tak samo dzieje się z orzechowym tortem. Prawdopodobnie sądzi, że łupiny od orzechów są zdrowe na ślepą kiszkę.

Każdą drobnostkę chowa nie tylko tak długo aż spleśnieje, ale trzyma ją jeszcze po spleśnieniu. Nie wszystko jednak pleśnieje, i wtedy tryumf dobrej sprawy jest wielki.

Łaje mnie też, że za wiele zmieniam bielizny osobistej i stołowej, za wiele wypalam świec i gazu, a oburzenie jej nie zna granic, gdy widzi, że zapalając lampę wstępuję na środek wyściełanego krzeselka, zamiast jak ona na krawędź.

Tak jak jednego roku wymagała, abym jej kupił szafę kuchenną (którą sama potem nabyła za marki rabatowe), tak po paru latach powtarzała coraz głośniej, iż potrzebna jest szafa do lodu. Oświadczyłem jej na to, iż 10 lat na swoim gospodarstwie obywałem się bez takiej szafy, więc i dłużej sobie dam bez niej radę, tem więcej, że nie mam pieniędzy.

— Jak Książdz nie chce dać pieniędzy, to ja sama kupię.

Gdy wróciłem nazajutrz w południe do domu, szafa stała już w jadalnym pokoju.

Pokazało się później, że zapłaciła za nią z oszczędzonych pieniędzy. Wówczas niestety o tem nie

wiedziałem zrazu. Tymczasem więc trapiłem się nie-
 mało, jakby, nie robiąc długów, zapłacić nowy me-
 bel. Myślałem o napisaniu kilku artykułów i za-
 płaceniu rachunku honoraryami. Ale nie miałem
 humoru ani pomysłu. Aż tu na szczęście p. Wit-
 kowski powiada, że potrzebaby wydać nakładem
 naszym książkę do nabożeństwa dla dzieci. Uło-
 żyłem więc coprędzej taką książeczkę. Rozeszło
 jej się 15 000 egzemplarzy, a p. Witkowski wypła-
 cił mi aż całe 50 marek! Zysk był zatem dwójaki.



§ 12. Forma rządów w domu.

W państwie mojem domowem panuje równość,
 wolność i niepodległość.

Wielu ludzi uważa to sobie jako postęp wielki
 i jako dowód usposobienia demokratycznego, jeżeli
 przybywają na zebranie, na którym wygłaszają mowy
 panowie jak Korfanty lub Brejski, lub jeśli prze-
 zwyciężą się i głosują za kandydaturą robotnika.

To dla mnie nie stanowi postępu ani dostate-
 cznej ofiary na rzecz sprawy ludowej. Przyznaję,
 iż nie należy do przyjemności wysłuchiwać mów
 tych panów i wiem, że zaszczytu nie przynosi
 nam ich sprawowanie poselskich mandatów, ale
 takie przewyciężenie się to — mojem zdaniem —
 jeszcze nie synonim demokracji.

Tę czerwoność, którą dzisiaj demokracja głosi jako swój monopol, tę miałem zawsze w żyłach. Rodziny, które się na moje istnienie złożyły, nie opuściły żadnego powstania, a idea niezależnego bytu Polski tak była żywą i obecną w moim dzieciństwie w domu moim rodzinnym, że jako chłopiec, słysząc ciągle o bitwach i potyczkach, pytałem się jak o rzecz najnaturalniejszą w świecie:

— Proszę dziadka, a kiedy my na przyszły raz pójdziemy znowu na powstanie?

Człowieka choćby najstarszego, który sądził, że nie doczeka się Polski, miałem za podłego zdrajcę lub obłąkanego. Nie wystawiałem sobie zaś nigdy Polski inaczej jak sięgającej od morza do morza, z szkarłatem jagiellońskim i skrzydłami husarzy, ale zarazem nigdy innej jak w blasku konstytucyi 3-go maja, w której chłop ma swoją ojczyznę i równe z szlachtą prawa. A chociaż na chłopca i zagrodę jego patrzałem oczyma romantyczności, choć kochałem strzechy mchem porośłe, a bolałem nad powstawaniem budynków z cegły, zawsze jednym z obrazów, na których wspomnienie gorzała moja wyobraźnia był dobrobyt włościan, książka w ręku chłopca i równouprawnienie ludu.

To był umiłowany mój ideał, ubarwiony rozmowami starszych, uzupełniany literaturą, a ilustrowany obrazem, jaki w pokoju moim sypialnym przez długie wisiał lata, obrazem z roku 1848, na którym szlachcic podawał rękę jedną mieszczaninowi

a drugą chłopu, z boku zaś stał ksiądz i wzywał błogosławieństwa niebios.

Gdy zostałem samodzielnym, pierwszą moją pracą społeczną była działalność około stworzenia i utrzymywania towarzystw robotników. Mało wtedy kto o nich myślał, a jeszcze mniej mówił. Choć nie zabawnie więc mi było co niedzielę godzinami siedzieć z chłopami w dusznej izbie, to serca było potrzebą i koniecznością być z nimi razem i wcielać ich w nasz organizm społeczny i narodowy. I za tym rodzajem pracy u podstaw pisałem zawsze.

Zdawało mi się, że skoro robotnik przez lat tysiące słyshał tylko o swoich obowiązkach, a nigdy o swoich prawach, to jest z naszej strony należnem mu zadośćuczynieniem, aby mu mówić o wolnościach, które mu przysługują słusznie, a innym stanom tłumaczyć potrzebę ustępstw na jego korzyść. Jeśli go krzywdzono dotąd, to dzisiaj jest rzeczą sprawiedliwości, aby przedstawiać wszystkim jego krzywdę, jego niedolę, marnowanie się jego i zatrąę. Jeśli tak długo zamykano mu usta, to dzisiaj obowiązkiem jest naszym z chwilą, skoro będzie umiał należycie przedstawić swoje bóle, potrzeby i dążności, pozwolić i kazać mu mówić na najwyższych mównicach, skądby głos jego się rozchodził po całym kraju i po świecie całym. Tak pisałem przez lata. (Niestety nie było to dość aby mnie narodowa demokracja uważała za swojego.)

Ponieważ zaś wielu wygłasza wspaniałe teorye

a nie czuje obowiązku zastosowania ich w życiu, więc chciałem być konsekwentnym pod każdym względem.

Wydało mi się nie dość pisać o niedoli stanu robotniczego, o jego znaczeniu dla narodu i Kościoła, o prawie do organizacyi zawodowej, o potrzebie i środkach pracy nad podniesieniem go materialnem i moralnem, — nie dość żądać, aby robotnik, skoro będzie umiał myśleć i mówić należycie, położenie swej warstwy i jej postulaty rozwijał na sejmach — ani też pracować w towarzystwach ludowych.

Zdało mi się koniecznością tę ideę równouprawnienia i rozwoju ludu wcielać w życie codziennie tam, gdzie najwięcej i najbliżej wszystko nas dotyczy: w swoim własnym domu. Pisać o tem stanowiło dla mnie satysfakcyę, bo takie mam przekonania i entuzjazmuje się, skoro tylko wspomnę o tej idei, więc myślałem sobie, że trzeba o krok dalej postąpić i ponieść ze siebie ofiarę.

Słuszną wydało mi się też rzeczą, aby lud miał udział nie tylko w organizacjach politycznych, gospodarczych i społecznych, ale i w przedsiębiorstwach wszelkich, a więc i w takich drobnoustrojach, do jakich zalicza się gospodarstwo domowe.

Pierwszą myślą moją było dopuścić babę do udziału w rezultatach mego przedsiębiorstwa zawodowego. Ale ponieważ zawsze starano się o to, abym jak najmniej miał za swoją pracę, więc zamiast

czystych zysków bilanse roczne zamykałem zawsze minusami i nie mogłem udzielać dywidendy. Nie mogłem więc na tej drodze zaczynać innowacji społecznej.

Postanowiłem zatem przypuścić babę do udziału w rządach, do równouprawnienia w domu, w postaci wolności słowa i swobody w administracji.

Nic jej o tem wprawdzie nie mówiłem, ale od razu poznała w bystrości swej, o co mi chodzi. Nie tylko na program mój przystała, ale nawet ułatwiła mi w znacznej mierze jego wykonanie. Zrozumiała odrazu, że ma mieć równe ze mną prawa w domu, a nawet — jako osoba należąca do uświadomionego a dotąd upośledzonego w swoich prawach ludu — winna mieć większe odemnie prawa. W zachowaniu zaś była nad wszelki wyraz konsekwentną i nie pozwoliła już, abym się kiedykolwiek zachwiał i wrócił do absolutnych rządów. Gdy zaś wymagała stosowania się do swej woli, wtedy, jak na osobę roztropną przystało, nigdy nie wysuwała siebie, tylko stósunki i przedmioty, któreby ucierpiały w razie niestósowania się do jej wymagań.

Równouprawnienie to objawiło się nasamprzód w stosunku do mojej pracy zawodowej.

Np. jestem z przeproszeniem państwa także literatem.

Dochody główne, potrzebne do utrzymania życia, czerpałem przez cały czas pobytu w Pozna-

niu z wydawania rozmaitych czasopism i broszur i pisywania artykułów w pismach zamiejscowych. Kto zna zajęcie w redakcyi, ten wie, jak praca ta wyczerpuje i rozstraja nerwy. Zwłaszcza w piśmie codziennem, w którym redaktor nie jest właścicielem, lecz wykonawcą rady nadzorczej i akcyonaryuszy, lub jakiej władzy, albo i władzy i akcyonaryuszy. Wszystkie te osoby bowiem zajmują się gazetą i rządzą się w niej jak w swojej własności. Do wyrażenia zaś swych życzeń używają prócz telefonu, telegrafu i pisma, wizyt i wezwań ad audiendum verbum. Najwięcej — jak wiadomo — zużywa siły odpowiedzialność i konieczność decyzji w najkrótszym terminie. W gazecie codziennej zaś oglądając się na lewo i na prawo, na dół i na górę, trzeba zająć natychmiast w przeciągu przedpołudnia lub jednej godziny stanowisko, które następnie bardzo łatwo może wykazać się niefortunem lub szkodliwem. Po zatem niepodobna zapobiedz temu, aby przed południem już żadna z wybitnych osobistości nie umarła, nie ustąpił żaden minister, balon nie spadł, lub nie zapadła się kopalnia. Trzeba też nieraz zastąpić korespondenta z Warszawy, Berlina lub Rzymu, jeżeli na czas nie nadeśle swego listu. Wreszcie nieraz nie dosyć dzieje się w świecie, aby zapełnić nowościami wszystkie łamy. A że niepodobna ani jednego z nich zostawić w przyrodzonej bieli, (bo publiczność sądzi, że zawsze tyle się dzieje, ile właśnie starczy na 4

strony gazety), więc trzeba po innych pismach szukać rzekomych zdarzeń i tłumaczyć je na polskie. Szukałem tedy, tłumaczyłem, ścigałem, a patrzyłem ciągle na posuwające się wskazówki zegarka w strachu, co to znów będzie, gdy wrócę do domu! Żeby tak jeszcze odczekać korekty i samemu jej dokonać! Tyle się zwykle przy niej nasuwa myśli, tyle poprawek potrzeba, składacze tyle robią błędów nieprzewidzianych, współpracownicy nie domyślą się dokonanej przez nich zmiany, zmarnują mi artykuł, będzie strata, zmartwienie, hałas w prasie... Trudno, trzeba zostawić wszystko, bo 2-ga się zbliża, a baba już czeka od pół godziny, złości się na mnie i przywita mnie oburzeniem lub też niezdolna już do słów żałosnem tylko pociągnięciem nosa.

Jednem z najkardynalniejszych bowiem jej żądań był postulat, abym zawsze był o tym samym czasie z powrotem w domu.

Tłumaczyłem jej, że ja znajduję się w tem samem położeniu co lekarz - omnibus, który także nigdy nie wie, czy w chwili, gdy chce wracać do domu, jeszcze go nie zawołają do chorego, — że nikogo nie mam do zastępstwa, a czytelnicy zawsze chcą być poinformowani o ostatnich wypadkach. Uważała to za umyślną niegodziwość z mej strony, że ja wysiaduję w redakcyi, a jej sztuka mięsa twardnie, pieczeń się suszy, rozgotowuje się jarzyna. Perswadowałem jej, że nawet żona musi się stósować do zajęcia męża, ale ar-

gument ten, zaczerpnięty z dziedziny niewoli kobiet, przeszedł zupełnie bez wrażenia.

Ponieważ jej tłumaczyłem, że nie ja istnieję dla domu, a tem mniej dla gotowania i dla obiadu, lecz że to wszystko dzieje się w domu jedynie na to, abym ja mógł pracować i istnieć w obranym sobie kierunku, i ponieważ przedstawiałem jej, że zmienić tych stosunków nie mogę, więc nazwała mnie bezwzględny i niewyrozumiały; gdy zaś miała pranie, wtedy mi już zupełnie odmawiała sumienia i uczuć ludzkich.

Takie same żądanie stawiała mi i taki sam wywierała nacisk z okazji gości. Nawet najwięksi wybrańcy losu bywali niepożądanymi lecz wręcz niemożliwymi, jeśli obrała sobie naprzód inną pracę t.j. zajęła się praniem, prasowaniem, konserwami, lub wycieraniem okien. Biada mnie i gościowi, któryby w taką godzinę krytyczną przestąpił moje progi; próżno mógłbym w mieście pozamawiać co tylko się da, sam nakryć do stołu, przynieść wino z piwnicy i kwiaty z ogrodu, nie darowałyby mi nigdy tego, iż gość targnął się na jej regulamin domowy. Ponieważ niestety nie miałem objawienia, jakie bywają jej programy, bo były to rzeczy jak jej humor lub pogoda w kwietniu nieobliczalne, więc zawsze z pewnem wewnętrznym drżeniem zapraszałem gości, a potem zwlekałem z zapowiedzią, aż gwałt był wielki. Co ja za niespokojną noc

miałem, gdy zaprosiwszy gości, wróciłem do domu, jak ja jej to powiem nazajutrz!

Gdy jej znów zapowiedziałem wieczorem wizytę na dzień następny, wtedy też było źle, bo wówczas ona całą noc nie spała i nazajutrz tem więcej była jadowita.

Zapowiedzi w podobnej materji wymagała wszakże nietylko co do gości, ale i co do mnie samego. Nieraz gdy wróciłem w południe do domu, zastawałem zaproszenie na obiad nazajutrz. Powiadam jej o tem zaraz.

— A czemu to mi Ksiądz zawczasu nie powie! już mięso na jutro kupiłam. Parę dni naprzód powiniem Ksiądz powiedzieć, abym się mogła do tego stósować.

Odpowiednio do tych zapatrywań swoich i praw jej przysługujących decydowała, że nietylko to, co ona ugotuje, będę jadł, ale że to mi wyjdzie na zdrowie, że będzie mi smakowało i że będę miał na tem dosyć. Zrozumieć nie mogła, jak mogę, gdy ona coś postawi na stół, powiedzieć, że tego nie lubię, to mi nie służy, a tego za mało.

Ilość i jakość potraw zaś zależały zawsze od jej chwilowego zapatrywania i usposobienia. Czasem zadała sobie wiele trudu, wystąpiła z bardzo skombinowanemi potrawami, przygotowała kilka dań, to znów zbywała mnie byle czem. Gdy jej na to zwróciłem uwagę, krzyczała na mnie, że grymaszę, że ze zbytków nie wiem co robię, że nikt tak

w mieście nie je, jak ja. Po prostu byłem znów winowajcą. A ja na kolację w dni postne, gdy po pracy najwięcej jest apetytu, oglądałem nieraz jako pierwsze i ostatnie danie kaszę z grzybkami, ryż ze sosem pomidorowym albo też potrawkę z raków. (Daty mam zapisane.)

Do największej zaś pasyi dochodziła, gdy się spytałem poprzednio, co będzie na obiad lub na kolację.

— Co ma być!?

— Chcę wiedzieć.

— Nic!....

— No, proszę, czekam....

— Nic nie będzie, co będzie, to Ksiądz zobaczy.

O stopień gorzej było, gdy się zapytałem:

— Co będzie jeszcze?

— Jak mi się Ksiądz spyta: co jeszcze, to już, już aż mnie boli wszystko.

Nie chciała poprostu pozwolić, abym swoje prawa uwydatniał jednostronnie. Nieraz miałem sposobność, gdy przed obiadem oglądałem talerze lub sztuciec, zawołać:

— Znów łyżka dobrze nie wytarta!

— Gdzie? co?

— O, pod światło, widać.

— A czemu to Ksiądz pod światło patrzy!

Nienawiedziła zwłaszcza mego żądania, aby do każdej potrawy był zmieniany sztuciec.

Raz skorzystała z tego, gdy był Dettloff, i krzyczała na mnie przy nim, że dokazuję sobie, — noże się wycierają, a ona cały tuzin musi codzień czyścić. Dettloff wtedy po raz pierwszy zapomniał, że ma język w gębie. W to nikt nie uwierzy, ale tak było. On sam poświadczy.

Baba nie znosi bowiem żadnych choćby najdrobniejszych ekstrawagancyi z mej strony.

Zanim proboszczowie poznańscy postanowili w czasie wielkanocnym w soboty wychodzić z konfesyonału o 10-tej, trzeba było blisko do 12-tej słuchać spowiedzi. Gdy wróciłem, byłem głodny i ze względu na sumę następną wypijałem czasem parę żółtek. Nazajutrz wymawiała mi baba, że dokupić się jaj nie można, bo są drogie, i będę osobno musiał dawać na jaja, że słyszała, jak szedłem do spiżarni, i już chciała krzyczeć na mnie, abym jaj nie brał.

Powoli wszystkie urządzenia domowe urabiały się wedle jej woli, dzięki jej energii i konsekwencyi.

Szczególną nienawiść odczuwała do zamykania drzwi, zwłaszcza zaś z głębi duszy była przeciwna temu, aby były zamknięte drzwi do kuchni. Skutkiem tego śwedy rozchodziły się po całym domu, tak iż już przekraczając próg przedpokoju wiedziało się, co będzie na obiad lub na kolację. Kiedyindziej znów drzwi te niezamknięte pod wpływem każdego powiewu wiatru stukwały w nierównych odstępach czasu i dokonywały moralnej trepanacyi czaszki.

Mówilem, krzyczałem, błagałem ją, modliłem się do niej, aby zamykała te drzwi, nic nie pomogło. Aż po latach próśb, zaklinań i złorzeczeń kazałem kupić kawałek kredy do pisania. Przyniosła mi całą bryłę, którą udało mi się ku jej zdziwieniu napisać na drzwiach:

— Proszę drzwi zamykać!

Środek ten okazał się skutecznym tylko na dni dwa. Potem przestała zamykać drzwi, a że napis stracił znaczenie, więc go starła. Napisałem powtórnie. Ponieważ nań nie zważała wcale, więc zadzwoniłem na nią i zawołałem:

— Napisałem, żeby drzwi zamykać.

Mruczała na mnie, że już nie wiem, co robić, więc tylko jej czas zabieram i dzwonię o byle co, a odchodząc rzekła jeszcze w pasy:

— Tam jeszcze czegoś braknie.

— A czego?

— Uo tam! I wściekła uszła. Dodałem więc:

— Babo, drzwi zamykaj! — i otworzywszy drzwi obwieściłem jej:

— Dopisałem, czego brakło. — Za to ukarała mnie kilkodniową niełaską i tego napisu nie starła wcale. Ponieważ więc ten środek zawiódł, kazałem Józefowi z Drukarni przy obu drzwiach, z kuchni i z jadalni, przytwierdzić samotrzaski.

Odetchnąłem!

Całe popołudnie spędzone w redakcyi i drogę całą do domu przemarzyłem o zaciszu domowem,

o powietrzu w pokojach przesiąkniętem, tylko wonią kwiatów, o uczuciu spokoju, jaki teraz mnie będzie otaczał na zawsze. Lekko mi było i radośnie na duszy, jak człowiekowi, który po latach niepokoju i walki dąży do zacisza domowego i już je wita z dala.

Wchodzę i widzę pierwsze drzwi — do jadalni — zastawione wielkim koszem z węglami, otwarte na oścież, a drugie drzwi — w głębi korytarza — przywiązane szpagatem do szafy kuchennej, aby się zamknąć nie mogły. Baba zaś grzmiąca i błyskała się.

— Co? to ja mam dźwigać ciągle te drzwi? obrywać się i obdzierać? jeszcze by też!

Niedługo też istniał ten mój środek bezpieczeństwa. Gdy po paru dniach wróciłem do domu, zastałem sprężyny odjęte od zatrzasku. — I odtąd śwędy niepodzielnie przechodzą do pokoiów i panoszą się w nich wraz z odgłosami statków kuchennych i talerzy, a postukiwanie drzwi niezamkniętych trapi mnie jak dawniej.

Podobnych zajść przeszedłem wiele w jej szkole. Po cebuli doznaję zgagi i przypominań aż do następnego dnia. Jestem wtedy smutny i $33\frac{1}{3}\%$ niezdolny do pracy. Błagałem ją więc ze łzami, aby nie brała cebuli do żadnej potrawy. Ale to jej nie wzruszyło; cebula panoszyła się dalej na moim stole. Ona zaś przysięgała, że »nawet ani krzty cebuli niema w domu«. I nieraz język mój

udało jej się okłamać, jedynie tylko żołądka nie wywiodła w pole. Gdy przypadł mi w udziale ogród, największy zagon zasadziła cebulą. Gdy cebula urosła, użyłem prośby i groźby, i cebula została sprzedana. I przez jakiś czas byłem spokojny. Dziwnym tylko sposobem żołądek coś szwankował. Aż wreszcie wyciągam łupinę od cebuli z kapusty i schwywszy corpus delicti na widelec, pełen grozy, wołam babę. Ale baba nie stropiła się ani na chwilę. Uzbrojona w swoją logikę dowodziła mi, że przecież bez cebuli gotować nie podobna. Stwierdziłem też z boleścią, że miała jej pełną szufladkę.

Tak — jednym słowem — była konsekwentną, że gdy coś zrobiła ponownie przeciw mej woli, lub wbrew zakazowi, a ja zniszczyłem lub stłukłem przedmiot chcąc postawić na swoim, to nawet wrodzona oszczędność nie powstrzymała jej od powtórnej próby.

BIBLIOTEKA

§ 13. Pojęcie o służbie.

Długi czas nie mogłem zrozumieć, jakie względy i czynniki wpływają na to jej postępowanie. Dopiero z latami pojąłem skutkiem badań i dociekań psychologicznych, iż ona to czyni na mocy systemu pojęć, jaki ułożyła sobie o służbie i o sposobie ujawniania życzliwości dla chlebobdawcy. Zawsze

wychodziła z aksjomatu, że ona lepiej wie, co trzeba zrobić, niż ja, i lepiej mi życzy, niż ja sam sobie. Mnie się wydawało, że służyć, to znaczy wypełniać wolę chlebowodawcy, ona zaś była przekonana niezłomnie, że służyć to znaczy przedewszystkiem czynić to, czego chlebowodawca nie chce i co częstokroć zakazuje wyraźnie, ale co trzeba zrobić koniecznie nawet z narażeniem się na jego gniew, krzyk i ból; on bowiem nie zna swego interesu, nie dba o swój prawdziwy pożytek i wogóle nie wie, jak być powinno. — Stąd do jego życzeń nie można i nie należy się stosować. Im więcej prosi, gniewa się, zakazuje, krzyczy, złorzeczy, tem więcej trzeba ścierpieć te jego dokuczliwości, ale tem mniej można uczynić to, czego on pragnie. I da się też przeprowadzić wszystko przeciw jego woli. Bo jak zobaczy, że coś znów nie jest podług jego myśli, to się nagniewa i nadokazuje, ale potem już da pokój, jest cicho, i znów jest dobry. Zresztą któżby to wszystko mógł zrobić, co taki żąda! Niepotrzebne to jest, zawiele, a co najważniejsza, że złe.

Wiele razy jej tłumaczyłem, że szczęście człowieka polega nie na tem, aby się działo najlepiej, jak się dziać może, lecz aby się tak działo, jak on chce: Baba przywłaszczając sobie atrybucye Pana Boga, trwała przy swoim systemie.

Że to jest system, dowodzi zdarzenie dni ostatnich.

Gdy czytając swoim zwyczajem całą korespondencję moją natrafiła i na arkusz korekty niniejszej książki, pobiegła do krewnych moich i zawołała z rozpaczą: — Tyle się na niego nakrzyczałam, żeby się poprawił, i nic nie pomogło.



§ 14. **Logika własna.**

Prócz tego posłużył jej do przeprowadzenia równouprawnienia w domu pewien osobny rodzaj logiki.

Tragiczną jest rzeczą, że ten rodzaj logiki, jaki ona wyznawała, zachodzący zwykle tylko u kobiet, wydaje się mężczyznom błędem logicznym lub brakiem logiki. Stąd byłem zawsze zatem, aby jak najprędzej dopuszczono kobietę do studyów uniwersyteckich. Wyobrażam sobie bowiem, że ta przepaść umysłowa, istniejąca pomiędzy obiema płciami, jest wynikiem niedopuszczania kobiet do źródeł wiedzy.

Jak zaś z natury rzeczy kobiety pożądamy systematycznego myślenia, świadczy statystyka, wykazująca, że z wszystkich wydziałów najwięcej kobiet uczęszcza na filozofię. Tak chcą na gwałt uzupełnić swoje braki i przywrócić na świecie jednolity sposób myślenia. Same jednak nie wiedzą, jakąby z drugiej strony przez to poniosły szkodę. Wiele bowiem kobiet historycznych wielkość swoją

i sławę zawdzięczają właśnie temu brakowi logiki. Ten brak ułatwia im wiele czynów. Kierując się zwykłą logiką męską krępowaneby były i zależne. Brak logiki tworzy ich dzieła niedostępne dla mężczyzn. Mężczyznom wydaje się złamanie prawideł logiki rzeczą monstrualną, zabójczą i niemożliwą. Najwybitniejsi z nich giną, a nie mogą działać wbrew logice. Nie zawsze jest to ich zasługą, ale tak jest. U kobiet zupełnie inaczej. Ich logika nie skazuje je na żadne cierpienia. Można zrobić tak, a w następnej chwili wprost sprzecznie. I stąd też taki umysł, który z logiką w zwyczajnem znaczeniu tego wyrazu nie ma nic do czynienia, nazywają niewieścim. Ta logika stanowi ich straszną, przepotęzną broń, a okazując się w błahych, jak i doniosłych faktach życia, osiąga zawsze cel zamierzony. I ja jestem w tem miłym położeniu, że mogę dostarczyć przykładów, jak ten rodzaj logiki dopomaga kobietom do przeprowadzenia tego, co uważają za potrzebne. Oto przykład:

Ziemia w moim ogrodzie składała się z gruzów, cegiełek, szkła, skorupki, wydobytych z podziemi starych domów i wyniesionych na nasz ogród w wysokości metra celem uniknięcia kosztów wywozu ich za miasto. Każdy deszcz wydobywał na zagonach nowe kamyczki i cegiełki. Potrzeba je tylko było zbierać. Ale baba uprawiając rolę, nie przed kopaniem lecz po skopaniu zagrabiała sko-

rupki, tak, iż część ich pochowała się na nowo, a to co zostało, zbierała i zakopywała w kątach ogrodu, nie chcąc w żaden sposób wrzucić do śmietnika. Kiedy indziej, na wiosnę, widzę, jak przynosi nawet z domu koszyk ze skorupami i wyrzuca na ogród, a nie spojrzawszy nań odchodzi. (Było to w czasie, kiedy za karę wykluczona była z tego Eldorado). Wołam tedy:

— To ja będę wybierał skorupy, a Różia będzie zносиła nowe?

— Ksiądz ani części nie nazbierał tyle skorup co ja — krzyknęła i poszła sobie.

Tak samo postępowała sobie i w innych dziedzinach życia.

Jest wielka sobota. Oświadczyła baba, że cały post nie jadła mięsa, więc przygotowała sobie święcone.

Ponieważ w domu naszym święci tylko proboszcz, nie chcę więc wchodzić w jego atrybucyę i wychodzę.

Proboszcz zjawia się. Baba oświadcza, że święconego żadnego nie ma. Nazajutrz powtarza swoje życzenie.

— Jak Ksiądz nie poświęci, to nie będę jadła wcale.

— Był proboszcz, mogła była Różia dać święcić, on na to przyszedł!

— Tam proboszcz! widać, że Ksiądz nie wierzy w świętości.

Przykładów podobnych mam zachowanych mnóstwo w manuskrypcie.

§ 15. **Zmiana rządów demokratycznych na samorząd.**

Równocześnie z tem logicznem postępowaniem szła dalej w objawianiu swych zdań i przeprowadzaniu swej woli.

Wymagała, abym przynajmniej raz na miesiąc na kilka dni wyjeżdżał i nie przeszkadzał jej przy robieniu porządków w domu. (Całe szczęście, że nie miałem pieniędzy. Aż strach pomyśleć, coby władza była powiedziała na te częste wyjazdy nie podejmowane celem poratowania zdrowia. Już i tak otrzymywałem anonimy od sąsiadek, że te wyjazdy moje to zguba duszy, chociaż pisarki nie wiedziały wcale dokąd jadę, a ja odwiedzałem najcnotliwszych przyjaciół.) Dawała mi baba odpowiednio do równoprawnienia swego społecznego też liczne rady i wskazówki i czyniła wyrzuty, jeśli się nie stósowałem do jej rad. Gdy zaś nie pomogły i gniewy, nie pogardzała też stósownie do okoliczności udzielaniem mi wygovorów na piśmie.

Spieszyłem się raz na jakieś zebranie (11. 11. 1909) i zostawiłem, wychodząc, drzwi w pokojach otwarte. Gdy wróciłem w nocy, zastałem na tabliczce napisane słowa: »Sypialnia otwarta, jadalnia otwarta, to przecież pęknać trzeba!«

Wcześniej też nadszedł czas, iż poczęła okazywać swe prawa wobec mnie przed obcymi, którzy zwiedzali nasze państwo domowe.

Przybył raz ze Lwowa któryś z konfratrów odwiedzić Poznań. Gdy tak siedzimy w trójkę z Adamskim, dzwonię i pytam się, czy niema więcej wody mineralnej w domu.

— Niema już! a czemu to Ksiądz nie każe więcej sprowadzić naraz, tylko taką kapaniną. Zawsze to mówię!

— A to jest dopiero Ksiądz pod pantoflem, zauważył konfrater, który w konserwatywnej Galicyi widać nie był przyzwyczajony do praw ludu.

Aż wreszcie doszło do tego, że rządy demokratyczne w moim domu stały się znane w okolicy. Niestety nie trafiły one na zrozumienie i nie zachęciły do naśladowania. Raz bowiem, gdy z jakiegoś powodu baba krzyknęła na jedną z sędziwych panien Tykelmann, ta jej odrzekła:

— Co tak Rózia na mnie powstaje, ja przecież nie jestem Rózi księdzem, żeby na mnie tak krzyczeć!

Ale i mnie samemu też lat było potrzeba całych, zanim się przyzwyczailem do zmiany formy w ustroju domowym. Z początku dawałem rozporządzenia, potem wyrażałem życzenie, później prosiłem ją, następnie gniewałem się, wreszcie nie chcąc się gniewać, wyjeżdżałem na dwa dni z domu i co miałem jej powiedzieć, pisałem jej z drogi. Dopiero, gdy to nie pomogło, począłem wszystko znosić. Teraz hołdując wzniostej idei równouprawnienia ludu czuję się dopiero dobrze. Mogę to

lekarstwo polecić innym, którzy się skarżą na absolutyzm w domu. Kuzyn mój Tadeusz np. dobrzeby na tem wyszedł, — gdyby się do tego przepisu zastosował. Ale do tego trzeba oczywiście być demokratą społecznym, a jemu tego brak. No i wobec matki własnej nie można takich czynić ofiar i ustępstw jak w obec ludu, względem którego ma się obowiązki społeczne.

Tak było w domu. Poza domem, świat jest inny.

Tam nabiera się innych pojęć, tam wydaje się, że człowiek stworzony jest do swobody i panowania, tam też się mniema, że służba na to istnieje, aby pełniła wolę pracodawców, nie sprzeciwiała się ich żądaniom, lecz ulegała ich życzeniom. Ale każdy wyjazd kończy się na szczęście czy nieszczęście powrotem do domu, a więc z krainy fantazyi w dziedzinę rzeczywistości.

Tak bywało i zemną. Wracałem pod jarzmo życia codziennego i ja. A powroty te bywały straszne. Mimo bojowniczej i śmiałej natury baba miała bowiem chwile niewieściej słabości. Obawiała się w nieopisany sposób złodziei i zbójców. Celem więc zapobieżenia zamachom na swe życie, obwarowywała wszystkie wejścia na wszelkie niemożliwe sposoby.

Jeśli więc jakim późnym pociągiem wróciłem w nocy do domu, sprawa była dla mnie bez wyjścia, a raczej bez wejścia. Gdy z bagażem dostałem

się przed entréé mego mieszkania, nie mogłem marzyć o dotarciu do wnętrza. W zamku bowiem tkwił z tamtej strony klucz. Ileż razy błagałem Moją Panię, aby go tam nie zostawiała. Napróżno. Dzwonienie zaś zwykle nie miało celu, bo gdy zaśnie, nie słyszy choć jej dzwonek elektryczny orgie wyprawia nad uchem. Nie zapomnę nigdy tej nocy zimowej, gdy wracając do domu skostniały i zmęczony siedziałem na walizce pod drzwiami i niszcząc baterye elektryczne dzwoniłem larum. Aż wreszcie rozpacz mnie ogarnęła. Porwałem walizkę i z wszystkich sił grzmotnąłem nią w szybę. Z hukiem i trzaskiem szkło wypadło na podłogę. Nareszcie był wyłom zrobiony. Miałem klucz i byłem panem sytuacji. (Oczywiście i ten hałas nie zbudził Mojej Pani.)

Jakież urocze myśli stanęły mi w głowie na wspomnienie łóżka, wypoczynku, snu! Wchodzę do sypialni: łóżka wcale nie ma. Rozebrała je baba na drobne części urządając wielkie porządki w domu. Pościel też się gdzieś podziała. Trzeba się było dobijać do baby przez dwoje zamkniętych drzwi. Łatwo się domyśleć po zajściach poprzednich, jak beznadziejnem było to przedsięwzięcie.

Ale na drugi raz i ten sposób wejścia do domu został mi odjęty: kazała zrobić kratki żelazne na drzwiach od entréé. Tłuczenie szyb nie miało zatem celu, i tylko pozostało mi cierpliwie czekać na schodach.

Jeśli więc tylko mogłem, pisałem do sąsiadów, aby ją zawiadamiali naprzód, kiedy wracam. To jej się nie podobało: wymagała aby donosić jej wprost o godzinie powrotu do domu. Zatelegrafowałem więc już prosto do niej z drogi. Niestety była to właśnie niedziela, więc postaniec, nie zastawszy jej w domu, wrzucił depeszę do skrzynki. Skrzynki zaś ona w niedzielę po obiedzie, nie spodziewając się listów, nie otwiera.

Znów więc siedziałem na walizce i czekałem. Widocznie tym razem tak mocno nie spała, — przebudziła się i przyszła otworzyć.

— A czemu to Książ nic nie donosił, kiedy wróci?!

Pokazałem jej telegram w skrzynce.

— To trzeba dzień naprzód donieść, a nie w ten sam dzień....

Jako człowiek słaby i niewytrwały skarżyłem się nieraz na jej wymagania i rzędy znajomym i krewnym, ale to sobie dopiero dałem!

— Już tylko nic nie mów na babę, — wołała Kazia Mieczkowska, — takiej drugiej nie dostaniesz!

— Ona przecież świetnie gotuje, — dodał Stasio.

— Jezus! to byś ty miał się baby pozbyć! — donosiła się ciotka Malczewska.

A pani Cegielska z p. Karwowską wołały:

— Bić się o nią będziemy, jak Ksiądz się z nią rozstanie.

Tadeusz zaś zdecydował:

— Ja Ci tylko powiadam, Różia to Twoja opatrność.

Po latach 10-ciu niestety jeszcze nie wiem, czy w moim domu już panuje równouprawnienie, czy jeszcze nie. Najgorzej, iż nie mam wyobrażenia, jakby się ono miało jeszcze objawić. A tymczasem często skarży się baba na mnie, że wszystko musi być tak, jak ja chcę, że nic nie wolno jej zrobić podług swojej woli. Zwykle nawet czuje się ofiarą mojej bezwzględności i braku wyrozumienia, i to tak dalece, iż chcąc mówić o tem, w pierwszym zaraz zdaniu się zatyka i słów nie znajduje:

— Już też — i dalej nie może.

Podobnie nieraz żona wmawia mężowi, że on rządzi w domu, i wszystko dzieje się tak, jak on chce, a ona go musi słuchać — a tymczasem ona sama trzyma berło w rękach i na nic mu nie pozwala, coby nie było wedle jej myśli. Czemuż więc i baba nie ma zażywać tej taktyki, skoro cieszy się równouprawnieniem!

Raz też przyszła na mnie pokusa w postaci przyjaciela, który zobaczył ustrój rządów w moim domu.

— Wiesz, — mówił — mężowie, znajdujący się w takim jak Ty położeniu, są pożałowania

godni z rozmaitych względów; w każdym jednak razie znajdują się w lepszej sytuacji, mogą bowiem wziąć rozwód i żyć odtąd swobodnie, a Ty tego nie możesz.

— Jak to? — spytałem.

— Najprzód, że się przyzwyczaiłeś do niej, tak jak człowiek przyzwyczaja się do starego surduta, choć go ciśnie, albo do krzesła wytłoczonego, na które siada do pracy, chociaż go szczypie, a potem, choćbyś ją wydalili, toby niezadługo do Ciebie wróciła, — jak to się już raz stało — pamiętasz?

Oczywiście, że na takie bluźnierstwa zatknąłem sobie uszy i wyrzucając za drzwi cynika, uczyniłem akt strzelisty:

— Niech żyje wola ludu, niech żyje równoprawnienie upośledzonych w społeczeństwie jak i w domu!

I teraz największym mojem pragnieniem jest, nie sprzeciwiać się w niczem jej pojęciom, a przede wszystkim zamiarom i postanowieniom. I tylko to jedno mam życzenie, aby moje chęci i postępowanie życzeniom jej odpowiadały zupełnie, a przede wszystkim, abym umiał ograniczać i powściągać swe potrzeby, któreby jej były niepożądane i niezrozumiałe.

Stąd też na Boże Narodzenie łamiąc się z nią opłatkiem wilijnym życzę jej zawsze, aby jak najwięcej przez cały rok była ze mnie zadowolona.

Goście moi, którzy, niestety, nie wszyscy są społecznymi demokratami, śmieją się z tego w mniemaniu, że nie mówię tego na seryo, lecz ja wiem, jak wielka i słuszna w tych słowach moich mieści się prawda.

§ 16. Przedmioty przyjaźni.

A. Ludzie.

Przyjaciółek nie ma.

Miała jedną jedyną, o której mówiła kiedyś, że jej wszystko może powiedzieć — Marynkę od X. proboszcza. Nawzajem odwiedzały się i zwierzały ze swoich myśli i zamiarów. Ale jak wszystko, co kruche, stłuc się musi, tak i przyjaźń kobieca.

Napisałem kiedyś w »Kuryerze« o niej ów feljeton, o którym wspomniałem w Przeszrodze. Miasto zawrzało. Duszyczki poczęły pisywać do mnie anonimy pełne zgorszenia i świętego gniewu. Na rynku płakały przekupki nad losem baby. Żądano, aby natychmiast ogłoszono bojkot. Żadna służąca nie miała pójść do mnie w służbę, gdyby mnie zaś jacyś państwo mieli zaprosić na obiad lub kolację, kucharka miała wypowiedzieć posłuszeństwo. Słusznie to spotkało mnie, mnie, który piszę za równouprawnieniem socyalnem pracobiorców i nie wykluczam z środków ich samoobrony strejku. Tymczasem babie, choć popłakiwała i list do mnie

napisała z wymówkami, jednak na seryo ani nie śniło się odejść. To wywołało oburzenie! Irytowała się też Marynka i wydziwiała nad babą.

— Co? to tak cię opisał, a ty jeszcze chcesz zostać? — i dalej jej tłumaczył, że nie musiałyby mieć ani za fenyg ambicyi, gdyby po tem wszystkim jeszcze nie miała opuścić takiego miejsca.

To obróciło chorągiewkę. Baba, zamiast jej przyznać rację, spostrzegła, że ta jej serca nie rozumie. Poszła do p. Gantkowskiej, wobec której wywnętrzała się zawsze, i oświadczyła, że koniec przyjaźni z Marynką.

— Jeśli ona mnie nie mogła zrozumieć, to też ja jej przyjaźni nie chcę.

A stało to się mimo, iż za owych dni, kiedy przyjaźń z Marynką kwitła, związała się z nią węzłem nie tylko dozgonnym lecz i pozagrobowym.

Rzecz miała przebieg następujący:

Zażądała odemnie, abym jej kupił na cmentarzu miejsce na grób. Odrzekłem, że ten wydatek jest najzupełniej zbyteczny, niema bowiem najmniejszej obawy, żeby mieli nas zostawić po śmierci dłużej niż trzy dni nad ziemią.

— Zresztą — powiedziałem — mam ogród, to niech sobie wybierze, gdzie chce leżeć.

— A które to miejsce ma być?

— Wyboru — powiadam — nie ma wielkiego — najlepiej albo pod tą wielką gruszką albo pod płotem.

— Aniby pewnie Ksiądz nie poszedł na mój pogrzeb!?

— Wcale też nie potrzeba, — odrzekłem — patrzyłbym z okna, czy wszystko dobrze zrobią.

Widząc, że nie biorę sobie sprawy tak ważnej do serca, zabrała się z Marynką do grabarza i zakupiły sobie dwa miejsca obok siebie w przedziale I. klasy. Przyjechała z cmentarza radości pełna jak z ślubu oblubienica.

— Niech tylko Różia uważa, żeby tam kogo innego nie pochowali na tem miejscu! — przestrzegalem ją na wszelki przypadek.

— A bo to mogą? przecież zapłaciłam tyle pieniędzy!

Nie była jednak swego pewna i jeździła raz po raz oglądać swoje miejsce, czy już kto inny na niem nie leży. Aż jej się to widocznie znużyło. Kazała więc wraz z Marynką ustawić wielkie żelazne kraty dokoła obu grobów — za 300 mk. I wtedy właśnie nastąpiło pogniewanie. Niebawem pogodziły się jednak, pewnie ze względu na potrzebę pokoju w grobie.

Ja zaś chcąc jej za życia uprzyjemnić wieczne spoczywanie, kazałem jej najładniejsze róże wziąć z ogrodu i posadzić w miejscu, gdzie miały spocząć jej szczątki śmiertelne.

Prócz Marynki przychodziły czasem do kuchni na pogawędkę jakieś figury nieśmiałe, stawały przy drzwiach, trzymały rękę na kłamce i w tej po-

zycy prowadziły konwersację. Inne, wybrane widocznie i uprzywilejowane, dopuszczane były do siedzenia na krzeselku. Więcej jednak było tolerancy i protekcyjności w traktowaniu ich niż potrzeby porozmawiania z równą sobie ludzką duszą.

B. Zwierzęta ssące.

Zato przyjaźniła się szczerzej z zwierzętami. Największą rolę w jej życiu grał Synek.

Pochodził z pod Szamotuł, z Kępy, ze starego dworku po Goślinowskich. Gdy mi go pani Grabowska przywiozła, wyglądał bardzo dystyngowanie. Zachował się zupełnie comme il faut, słuchając rozmowy o kwestjach psychologicznych i literackich.

Że był mały, wzięła go baba zaraz w naukę. Niezadługo umiał służyć, tańczyć wedle rozmaitych melodyi, przewracać koziołki, nosić gazety.

— Co miesiąc będzie umiał coś nowego — oświadczyła.

Ludzie niemało dziwili się pojętności psa i zaletom pedagogicznym nauczycielki. Mnie zaś więcej ponad te sztuki uderzał fakt, że rozumiał po niemiecku, chociaż się nigdy w życiu tego języka nie uczył. Oczywiście hr. Karol Bniński miał rację, twierdząc, że wszystkie psy rozumieją po niemiecku; tylko ja myślałem, że one uczą się tego języka od tych, którzy je tresują. Tymczasem musiało tak nie być. Mój pies miał bowiem widocznie wrodzoną wrażliwość na ten język. Skoro

tylko ktoś po niemiecku doń się odezwał, pies tak samo rozumiał jak po polsku.

Nie mało się więc cieszyłem z tej skłonności i kultury psa, i skoro magistrat (oddział dla psów) przysłał mi formularz do wypełnienia, napisałem z dumą pod rubryką — *Besondere Bemerkungen: Ein sehr intelligenter Hund, der beide Landessprachen versteht.*

Na drugi rok już tego dodatku nie powtórzyłem, bo miałem skrupuły, że odtąd wymagać będą od wszystkich psów, by rozumiały po niemiecku, i tak je męczyć, jak nasze dzieci.

Długo zastanawiałem się nad tem, jak go nazwać. Ponieważ zaś był najsilniejszym węzłem, jaki mnie łączył z babą, nazwałem go Synkiem.

Jako Synek znany był w szerokich kołach naszego obywatelstwa, zwłaszcza tego odłamu demokracji narodowej, który większą część dnia spędza na ulicy. Miał on też osobną do niego słabość. Nie bawił się nigdy tak dobrze z równoplemieńcami swymi, jak z słusznie tak zwanymi ulicznikami. Mieli oni daleko więcej pomysłów, równie byli hałaśliwi i równie między sobą zazdrośni. Do nich więc uciekał, jak tylko mógł się wymknąć z domu. A czynił to z lubością.

Niedługo bowiem uprzykrzyły mu się nauki baby i rozmowy z nią. Pozwalał sobie usługiwać, usłać legowisko, karmić, kąpać, czesać, nosić na ręku na ulicy, ale w domu się nudził.

Zwykle siedział przy drzwiach i trzymał pyszczek przy szczelinie. Jak tylko komuś otworzono drzwi, już mój Synek był na ulicy.

Baba się smuciła.

Wiedziała, że już na cały dzień jest osierocona i nie będzie miała do kogo ust otworzyć. Wieczorem wychodziła przed dom, czekała, wołała na niego — na próżno! Bramę zamykano, a Synka nie było. Więc patrzyła za nim z okna, a o $\frac{1}{2}$ 11 przychodziła jeszcze do mnie po klucz od domu.

— Bo może on tam gdzie siedzi i nie może wejść.

Ale zwykle rozżalona wracała bez psa. Nazajutrz na sznurku przyprowadzały go chłopaki.

— Jak ty wyglądasz? jak niestworzenie boskie — całą noc przebomblowałeś — krzyczała na niego i poczyniała go obrabiać.

Pies potulnie spuszczał głowę i słuchał, czołgając się i wyciągając raz po raz języczek.

Ona zaś nalewała wody ciepłej w kubetek, mydliła całego, wydrapywała, szorowała od mordki do ogona, opłukiwała i owiniętego w ręczniki wkładała do kosza.

Tak pies spał przez resztę dnia. W nocy wychodził i wypijał niesłychane ilości wody. Widać, że u psów tak samo »kot« się objawia, jak u ludzi. Nazajutrz jadł mimo szyderstw baby za dwóch, w nocy chorował z przejedzenia, a na drugi dzień

razem z piekarczykiem, co bułki przynosił, uciekał na miasto.

W ten to sposób pies moralnie podupadł.

Zanim jednak smutny jego koniec obwieszczę, uzupełnię jego charakterystykę kilku znamionami rysami.

Jedną miał on wielką zaletę: babę trzymał krótko.

Leżał w kuchni w koszyku pod stołem i drzemał, ale jedno oko miał otwarte i tem zawsze kontrolował, co się działo dokoła.

— Nic nie śmiem zjeść, wszystko muszę mu pokazać, co jeno wyjmuję i co w usta włożę — mawiała z miłym utyskiwaniem i lubością podziwu.

Tak go też znarowiła, że nie tylko pokazywała mu, co w garnkach ma i w salaterkach, lecz nawet gdy butelkę jaką brała do ręki, a pies nos wyciągał, dawała mu ją do powąchania.

Aż mu to zbrzydzone. Baba idąc po sprawunki mniejsze brała go na ramię i od składu do składu nosiła, żeby się nie zabrudził albo też nie uciekł. Raz w drogerji Czepczyńskiego widzi Synek, że jakąś wielką butelkę odkorkowują, wyciąga więc nos oznajmiając, że pragnąłby się dowiedzieć, co tam jest wewnątrz.

Baba tłumaczy też zaraz ekspedjentowi, wiedzającemu tę ciekawość psa, że on wszystko musi powąchać — przytknęli mu więc szyjkę od butelki do nosa — wtedy rzucił się jak w konwulsjach

wierzgając nogami i odpychając butelkę — aż wypadł babie z rąk na podłogę. W butelce był salmiak.

Odtąd nigdy już nie zapragnął wiedzieć, co w butelkach się znajduje. Sądził, że każda z nich ma tę samą zawartość.

Nie wiem, z jakich powodów i przyczyn, ale przywiązania nie miał do mnie ani do baby. Może to był błąd jego charakteru, a może też wina wychowania. Nieraz bowiem baba głąskała go, a potem nagle uderzyła mocno, aż bolało. Wtedy rzucał się na nią, szarpał za suknie i dziury wygryzał. Nic dziwnego, że stał się nieufnym. Ale i mnie tak samo gryzł, gdy czegoś żądałem od niego nie w porę.

Na ulicy zaś nie przyznawał się do mnie, gdy go spotkałem i wołałem na niego, lecz biegł za towarzyszami dalej; tak samo udawał, że nie zna baby.

Więc że nie miał przywiązania ani do domu ani do chlebodawców i charakter okazywał samolubny jak człowiek — przytem zaś był birbant i niemoralnie się prowadził, postanowiłem wydać go z domu i zawiozłem go do mego starego przyjaciela Fussa do Chociszewa. Miał on już szesnaście psów różnego autoramentu, a mimo to cieszył się z każdego nowego przybysza.

Baba była smutna.

— A czy tam z tymi Niemczyskami będzie pies się mógł porozumieć? Jak głupi tam będzie

chodził. Zły był, to prawda, przywiązania też nie miał, ale jak mi nie ma go być żal wydawać między Niemców!

Zawiozła go jednak na dworzec i wsadziła do wagonu. Czułości żadnych nie było przy pożegnaniu. Takie już mieli natury i on i ona.

Pierwsze, czego się o nim dowiedziałem, to było przezwanie psa z Synka na Sineck. Pomyślałem sobie: — Widzisz, na jaki ci koniec przyszło. Nie jesteś nauczycielem, a zmieniłeś swoje nazwisko!

Gdy przyjechałem go odwiedzić, już mnie nie poznał. Tylko gdy mu zaśpiewałem zwykłą jego piosenkę z lat dziecińczych: — Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły... podniósł się, stanął na dwóch łapkach i począł w kółko tańczyć — a przytem patrzył jakoś dziwnie smętnie i melancholijnie, jakby mu stanęły nagle w pamięci jego ojczyste strony....

Żył w Chociszewie długie lata, ale nie był już tym eleganckim pełnym animuszu i finezyi psem: sierć mu schodziła z grzbietu, a wewnątrz męczyły robaki. Aż położoną na kuny truciznę zjadł i padł na miejscu trupem. Taki był jego koniec. Nie ten bohaterstwo-tragiczny, jakoby zginął pod kłami niemieckiego Tyrasa, jak »pisało« w gazecie w owej nowelce »Psia dola«.

O końcu jego nie mówiłem babie. Dotąd myśli, że żyje i wspomina go mile.

Po Synku były jeszcze rozmaite próby z chowaniem psów, ale miejsca jego nikt nie zdołał zająć.

Myślałem więc o kocie.

Każdy nieomal lokator — wyprowadzając się z naszego domu — zostawiał kota, czasem dwa. Stąd, gdy się zdarzyło, że baba zostawiła kosz od rozsadek w ogrodzie, po pewnym czasie znajdowały się w nim kocięta. Dla upodobania, jakie mam do tych zwierząt, chciałem trzymać kota w domu, ale baba się sprzeciwiła. Rzekomo dla nieporządku. W rzeczywistości zaś kot ze swoją finezyą, skłonnością do pochlebstwa, zdolnością stosowania się do próżności ludzkiej, giętkością umysłową i cielesną, miękkością i sybarytyzmem, nie odpowiadał jej naturze.

C. Ptaki:

W braku więc ludzi i psów, przyjaźniła się z ptakami, najwięcej z indyczką.

Indyczka też już z natury swej z wszystkich ptaków największe do niej miała podobieństwo, zwłaszcza gdy siedziała w kuchni zastępując ją. Zamieszkała zaś u niej w kuchni — kątem. Mieszkanie stanowiło pudło od wina. Na krawędzi tego pudła indyczka siedziała, ogon trzymając na zewnątrz. Obok baba nie sypała piasku, tylko podkładała papier na wypadek, iżby się indyczce coś ludzkiego miało zdarzyć. W pudle zaś były kurczęta pod drutem. Skoro baba była w domu,

wtedy indyczka, poważnie jak stara jejmość, kiwała głową, przymrużała oko, raz po raz coś rzekła i poruszała językiem, trochę go tylko wyciągając, skoro jej ślin zabrakło i uschło w gardle. Zupełnie inaczej się zachowywała, gdy baba wyszła z domu i ona została w jej zastępstwie. Tak samo wyglądała, jak baba (tylko nie nosiła okularów), tak samo groźnie spoglądała na mnie, ilekroć wchodziłem do kuchni, jako że tam jestem niepotrzebny i jej przeszkadzam podaremnie. Gdy zaś z szafy coś wyjmowałem, wyciągała szyję, ażali czego nie biorę, co mi się nie należy, i coraz więcej mroczyła się na mnie. Wyszędłszy widziałem przez szparę, jak podchodziła na kilka kroków do szafy, zaglądała do niej, przechylała głowę, coś przebąkiwała, patrząc w stronę dokąd wyszedłem; jednym słowem okazywała, że do niej należą rządy. Chodziła potem po kuchni, rozglądała się, wskakiwała, gdzie było potrzeba, i gospodarzyła; dopiero słysząc kroki baby na schodach, wracała na swoje miejsce i udawała, że nogą się nie ruszyła po za obręb pudła. Powiadała baba, iż gdy wraca do domu, indyczka bardzo się z jej powrotu cieszy i gada do niej, dużo gada! Dla tego baba ją lubiła.

Raz tylko natura ludzka w nieboszczce się odezwała.

Ktoś w domu naszym kupił indyka na święta, jak mówiła baba, i zamknął go w piwnicy. Indy-czka wyczuła to zaraz i gulgotaniem dawała mu

znaki, że istnieje w pobliżu, a może też i coś więcej. Baba oczywiście srodze rozgniewała się o to na nią, skrzyczała ją, kazała jej być cicho, a gdy to nic nie pomogło, obita ją mocno. Potem, mówiła, na pół godziny miała spokój. Ale niezadługo znów tęsknota obudziła się w indyczce do bratniej duszy, i to tak silna, iż krzyczała w niebogłosy. Nie chciała słuchać na perswazyje żadne, zaklinania ani prośby, ani też nie była wrażliwa na razy cielesne. Dopiero gdy indyka zabili, powróciła do równowagi umysłowej i chciała na nowo zadzierzgnąć przyjaźń z babą. Ale baba nie mogła jej darować tej lekkomyślności: przytrzymała ją kolanami, pogłaskała po szyi i przecięła gardło.

Prócz tego miała baba przyjaźnie drobniejsze. Zwykle z kurczętami. Tylko tym istotom nie pozwalała na żadne poufałości. Zapatrywała się na nie ze stanowiska wyższego gatunku w hierarchii stworzeń.

Nie lubiła wiecznie pośpiewujących kurek, ale nie mniej nie znosiła cichych i potulnych.

Była raz kurka bardzo grzeczna, która siedziała zwykle na ziemi, jakby w przedwczesnem przeczuciu, że zniesie niezadługo jajko. Tę zabiła przed innemi. Nie podobał jej się ten spokój.

— Taka tam miągwa i niemrawa! mówiła o niej. Natury wojownicze były jej najmilsze.

Wiadomo, że wspólne pożycie wytwarza nawet podobieństwo fizyczne. Rysy małżonków,

którzy długie ze sobą przeżyli lata, częstokroć więcej do siebie są zbliżone, niż rysy rodzeństwa. Z biegiem czasu więc ręce baby aż do łokcia poczęły przybierać podobieństwo nóg od kur i indyczek. Żyłaste były, suche, sine, z łokciami wygnieconemi i oskorupiałemi jak kolana u wielbłąda lub kleryka w trzecim kursie. Nigdy zaś nie mogłem odróżnić, czy to odezwała się nagle indyczka, czy też baba dostała czkawki — takiego podobieństwa nabrały ich głosy.



§ 17. **Kwestya matrymonialna.**

W sprawach małżeńskich podobne ma pod wielu względami zapatrywania do moich.

Znaną to rzeczą, że z wiekiem przychodzi zwykle coraz większa tolerancya. Młodzież entuzjazmuje się, uwielbia lub potępia; wyrokuje bez namysłu; istnieje dla niej tylko: tak lub nie. W późniejszym wieku istnieje jeszcze trzecie słowo: inaczej. I nieraz spotkać można starca-filozofa, który wiele rozumiał, czuł i przeżył i teraz powiada: u mnie dzisiaj każdy ma rację.

Tak się dzieje ze mną. Sam nigdy nie byłem zwolennikiem małżeństwa. Jak tylko siebie zapamiętam, obrzydliwie mi się robiło na samą myśl o fizyologicznej stronie tej instytucji. Dzisiaj z latami wstręt zmienił się w obojętność, ale wy-

stawiam sobie bardzo żywo, jak straszną musi być rzeczą bezustannie mieć wzgląd na drugiego człowieka i uznawać jego prawa. Gdy sobie pomyślę, że jakaś osoba może wymagać odemnie, abym ciągle z nią przebywał, nią się zajmował, odpowiadał na jej pytania — gdy mnie się wcale mówić nie chce — razem z nią spędzał dnie, wieczory i noce, rozbierał i ubierał się przy niej, a już co najgorsza spał z nią w jednym pokoju, to zaiste głęboko żałuję każdego męża.

Prócz tego małżeństwo przedstawia mi się jak jedno wielkie ograniczenie wolności jednostki, jako członka ludzkości i społeczeństwa, w kierunku jego działalności twórczej dla dobra ogółu.

Drugi osobnik ma mieć prawo do mnie, do moich fizycznych i umysłowych zasobów i właściwości, do mego czasu, zakresu działania, ma bez skrupułu wpływać na moje skłonności i hamować rozwój mój indywidualny!

Zamiast poświęcić wielkiej idei siły, któreby się mogły przydać tysiącom ludzi, któreby się opłaciły w setny sposób dla dobra społeczności, trzeba je oddawać jednemu osobnikowi!

Gdy piszę i marzę, że każde słowo mogą czytać setki ludzi, którzy moje idee pochwyć, wcielą, przekażą dalej, wtedy żyję, wtedy czuję wartość, piękność i radość życia, wtedy wiem, że przezemnie idą dalej idee Stwórcy ku rozwojowi i pełnieniu się powołania ludzkości. I tej możliwości nie miał-

bym mieć, tę zdolność miałbym ograniczyć i zamienić na ciasne kółko obowiązków, ciągle mię biorących w niewolę, w kleszcze, w objęcia! Wprawdzie im się jest starszym, tem więcej wybija się chęć mieć coś dla siebie, na swoją wyłączną własność, spokojną i niezaprzeczną, a więc przede wszystkim ramy najbliższe życia. Dla tego dom dla siebie istniejący, w swoim własnym żywiole niezależny, odłączony od reszty istnień, staje się tak pożądany w wieku dojrzałym. Więc też dawniej, gdy byłem młodszy, marzyłem o tem, aby mieszkać razem z kimś z rodziny. Dzisiaj jednak wiem i przekonuję się raz po raz na nowo, że stały pobyt każdej drugiej osoby w domu odbiera swobodę, która jest warunkiem niezbędnym życia. Swoboda zupełna w domu swoim, jaką tylko daje samotność, to warunek konieczny do życia i pracy.

Inna rzecz, że jako społecznik jestem wielkim zwolennikiem małżeństwa. Inaczej być nie może. Prawidłowość w ustroju małżeństw jest podstawą bytu każdego kraju i narodu. Im głębsze i wznioślejsze pojęcie zadań małżeństwa, im lepsze zrozumienie znaczenia jego dla społeczeństwa, im dalej idąca bezinteresowność pod względem własnej osoby, tem jaśniejsza i większa przyszłość narodu. Stąd o doniosłości i ważności małżeństwa dla społeczeństwa nigdy dosyć wiele mówić i pisać nie mogą teologowie i socyologowie.

Wiem także i rozumiem, że wielu innym

ludziom małżeństwo nie wydaje się rzeczą tak przykrą, że wiele zwłaszcza kobiet go pragnie, a dla wielu mężczyzn, którzy nie czują potrzeby samodzielnego istnienia i działania, jest ono rzeczą pożyteczną.

W każdym zaś razie przyznać trzeba małżeństwu, iż jest doskonałym urządzeniem pod względem zabezpieczenia się na starość przed osamotnieniem, które dla wielu ludzi jest synonimem niedoli. Położenie też wdowy mającej dzieci uchodzi słusznie za daleko korzystniejsze, aniżeli dola starej panny.

Te względy przeważały, gdy myślałem o przyszłości baby. Zakład św. Kaźmierza, Fundacja Garczyńskiego, Przytułek dla siedmiu wdów i siedmiu starych panien — są otwarte tylko dla osób z obywatelstwa (jak długo jeszcze istnieć będzie ta chińszczyzna!) — zagailem tedy sprawę małżeństwa. Zapytałem się uprzejmie, czemu nie wychodzi za mąż, zwracając jej przytem na to uwagę, że ma pieniądze, jest zdrowa i silna i obecnie w młodszym będąc wieku, lepszą partyę sobie wybrać może, niż później.

— Kiedy mnie nikt nie chce, — odrzekła.

— Bo nie szuka Rózia znajomości mężczyzn. Ale na to jest rada. Podam anons do gazet, na tej drodze niejedna już znalazła szczęście.

Śmiejąc się, przyjęła tę obietnicę do wiadomości.

Niebawem też — było to 13. 9. 1908 r. — w jednym z najpoczytniejszych naszych pism, w Przewodniku Katolickim, pojawił się anons następujący:

W związek małżeński

pragnęłaby wstąpić

PANNA

w sile wieku, przystojna, zdrowa, ogólnie szan., posiadająca przeszło 4000 mk. zarobionych własną pracą, pracowita i skromna, znająca się na kuchni, chowie drobiu, prowadzeniu gospodarstwa domowego i ogrod. itd. Zgłoszenia z podaniem wieku, zawodu, usposobienia, stosunków rodzinnych i majątkowych oraz fotografii przyjmuje eksped. »Przewod.« pod lit. R. N. 2225.

Za tydzień oddano mi w administracji Przewodnika stos listów. Przyszły one z najrozmaitszych stron, z Poznania, z prowincyi, ze wsi, z miasteczek, z wychodztwa.

Z pierwszego listu wypadła podobizna młodzieńca w tużurku, z jedwabnemi wyłogami, z kapeluszem osuniętym na tył głowy, dawno nieprasowanemi pantalonami i mankietką, pochłaniającą spuszczoną prawą rękę; lewa była założona na plecach. Twarz młodzieńca była mocno zadowolona z całości, a oprócz zwykłego inwentarza miała wąsy duże. Z jednej jego strony stał oleander, z drugiej bez.

List brzmiał jak następuje:

Łaskawa Pani!

Ponieważ wyczytałem anons w »Przewodniku Katolickim«, a w całym znaczeniu stósujący się do moich życzeń

i serca pragnień. Zatem pozwalam sobie kilka słów napisać i moje oświadczenie choć listownie wypowiedzieć.

Jestem w N. już od 10 lat, a liczę lat 28, z zawodu organistą, a przytem mam 20 roi pszczół, ogród i 20 mórg ziemi, która to jest w dzierżawie. Tak że mój majątek wynosi na około 5 tysięcy marek. Na tej drodze nie miałem sposobności się zapoznać jako też odpowiednich panienek w okolicy brak, bo człowiek także żyjący pomiędzy różnemi ludźmi widzi tak lekkie wychowanie, że ma obawę, czyli po prostu nie chciałby przez ożenek podupaść, lecz pędzić życie szczęśliwe.

Pochodzenia jestem włościańskiego i to z rodziny lepszej i bogatej, do której także 2 Xięży i wiele innych wykształconych ludzi w pokrewieństwo wchodzi. Usposobienie zaś mam *bardzo łogodne*, — stosunki rodzinne mnie nic nie wiążą boć od nich nie jestem zależnym i z nimi również nie mam nic do czynienia. Na życzenie przesyłam fotografię a którą się uprasza zwrócić z powrotem, i również prosi się interesowaną i Łask. Panią o przysłanie także swojej fotografii celem się bliżej zapoznania.

Nadmieniam że żona a właśnie taka jak jej *zalety* w »Przewodniku« wyszczególnione zrobiła by mię szczęśliwą, że na tej drodze żyjąc i gospodarząc upływały by chwile mile, tak jednej jak i drugiej stronie z zadowoleniem. Oczekuję tedy i upraszam o łaskawą i rychłą odpowiedź. — Piszę się pełen poważania i szacunku F. F.

Drugi donosił: »Ja jezdem pośrednikiem co do żynienia i dużo w tem roku ożyniłem i tagże się podejmie ożynić ŁPanią i to dobrze mam różnych ludzi zroznej branży. Proszę tylko mi odpisać za kogo by ŁPani wyszła na wieś czy do miasta«.

Trzeci — kawaler w 30 roku życia, mający

3,600 mk., robotnik przy kolei, kazał pisać do siebie poste restante.

»Co do usposobienia — donosił — to ja jesdem na wszystko kotow, czy na wioske czy w miescie«.

Czwarty reflektował na anons,

Gdysz na samem wstępie się pszyznać musze iż mi podpadło to; z własnej pracy pszeszło 4000 marek; takich ludzi jedynie moge szanować gdysz ja sam jezdem oszczędnym. Teraz krotko opiszę moją osobę, jezdem wysokiej, akazały, zgrabnej *Figóty* bardzo *llrodny mitego* Wesolego wejżenia. Usposobienie mam *łagodnie i dobre*, jezdem pracowity, Niepijak bo prawie wcale nieużywam i nie pale, moralny i religijny. Pochodze z lepszej *řantilii*, wykształcynie dość dobre, lat 26. Z Zawdu dobry Ogrodnik *řrtysta*, obecnie u Panstwa L. Gotówki posiadam pszeszło 2000 marek. puźni węcuj. *ř*otografii mojej na razie *łaskawej Pani* nie pszysyłam ponieważ obecnie zadnej *miemam* gdysz mi wszystkie krewni rozebrali, lecz za upodobanie ręcze *Łaskawej Pani* słowem chonoru.

Piąty odpowiedział dokładnie na wszystkie pozycye inseratu jako bywalec w świecie. Pracował bowiem u Kruppa w Essen, a »teraz nie mogąc dla niezdrowej konkurencyi ze strony komisji kolonizacyjnej« nabyć kawalka ziemi, zamierzał wziąć małe probostwo lub folwark w dzierżawę.

Szósty zwiedził wyższą szkołę kupiecką we Wrocławiu, jest rewizorem ksiąg, a obecnie mając 25 lat posiada handel kolonialny, pochodzi z nauczycielskiej rodziny, także jest »*mitego i spokojnego usposobinia*, ale niezmordowanem w pracy

kupiecki«, w towarzystwach polskich piastuje urząd sekretarza (uwaga ta była potrzebna ze względu na poczynione w liście liczne błędy ortograficzne).

Siódmy, 25-letni, tęgi, rasowy chłopak, mający otrzymać po rodzicach 60 mórg roli z dobrymi budynkami, napisał namiętny list, pełen upragnienia oblubienicy. Anons wywołał bowiem w jego wyobraźni postać młodej, ponętnej dziewczyny. Błagał więc, aby mógł »jak najprędzej swojemi końmi przybyć na dworzec po Kochaną Pannę«.

List ósmego z rzędu zalotnika brzmiał jak następuje:

Wyczytałem w anonsie Przewodnika katolickiego że chce i sobie Panna życzy wyjść za Mąż, to ja jestem wdowiec uczciwy religijny i Potografi niepszysełam bo jeszcze się niedawałem potografować ale jestem człowiekiem trzyzłem bo jeszcze jak żyje wótki niepiełem i jestem skromnym ale i zaradnym i posiadającym 5 tysienicy marek gotówki tagże ze swego zarobku i całkowitą wyprawę co wdomu do potrzeby jest. I ja jestem tagrże we wieku lat 50 wienc własnie e sobie zycze tagrże we wieku Zony może być od 40 lat asz do przeszło 50 byle uczciwa i religijna. Wienc może się Panna zcałem zaufaniem domnie udac jak do najlepszego przyjaciela i chwszystko jest gotowe i niepotrzebuje panna mebli sprawiac bo mam i dwie szafy do zeczy i jedne do kuchni. I mieszkam w Poznaniu i niech się Panna nie zrazi ze z Poznania bo niekturzy nawsi mówią ze wpoznaniu to bąblery toć są jak wszędzie ale nie wszyscy. Toć Panna zaraz mi może niezawieży ale gdy do tego bendzie miało przejść to się panna tu od bardzo poważnych osób może dowiedziec nawet od od moi Pani Gospodyni u kturzej mieszkam lat 15 pientnascie a u takiej można się prawdy do-

wiedzieć bo chodzi co dzień do Kościoła i co tydzień do spowiedzi. Panna ma wolą nieprzemuszaną to niech tylko panna Odpisze wtem tygodniu list domnie zetelnie i na Niedziele od dzisza tydzień to niech się tu Panna stawi do Tumu do Kościoła i z tem listem się tylko Panna spyta Gdzie jest Srutka No. 00 to każdy powie i sobie panna u mnie zobaczy czy się pannie będzie u mnie podobało i wygodnie mamy bo blisko do Kościoła i niepotrzebuje panna u mnie do żadnej roboty chodzić tylko w domu wstancy i niech się panna niekłopotce ze Dzieci są bo moje dzieci te drugą Matkę tak dobrze muszą uszanować jak tę pierwszą i jest najstarsza Cura lat 18 i są trzech chłopców a najmłodszy lat 5 ale Curka jest krawcową więc chodzi do szyci i niech Panna odpisze ile lat ma. Amen.

Dalej zgłosił się urzędnik sądowy, który chciał wziąć emeryturę i założyć stósowny interes, aby potem wziąć probostwo w dzierżawę — kupiec zbożowy — jeszcze 2 robotników przy kolei — kołodziej — siodlarz — krawiec — szewc — rzemieślnik bez podania specjalnego zawodu — 2 gospodarzy zamożnych — razem zalotników było dwudziestu.

Większa część oświadczyła, że jest łagodnego »karatyru« lub usposobienia.

Mimo jednak, że przeculi, jakie powinni mieć usposobienie jako reflektanci na pożycie wspólne z Moją Panią, zwróciła mi oferty prawie wszystkie nieodpieczone.

Biedni! Tak szybko im nadzieja zabłysła i zgasła. A przecież każdy dostając jej rękę wielki byłby wygrał los.

Po tej daremnej próbie nie czyniłem już dalszych starań, aby jej za pomocą małżeństwa zabezpieczyć przyszłość. Może studyum moje przysporzy jej konkurentów, a ją przekona o potrzebie tego przedsięwzięcia.

BIBLIOTEKA



SEKCJA IV.

§ 18. **Oświata przez prasę.**

W dzieciństwie swem sądziłem, że wszystkie gazety polskie są dobre. W młodości swej słyszałem, że są między nimi i złe, dzisiaj zaś wiem, że gazety niejednokrotnie odbierają wiarę w ludzi, a prócz tego szkodliwie oddziaływać mogą na życie domowe.

Wskutek tego od wielu lat nie mieszkam w domu ani jednej gazety. Z zawodu swego musiałem przez długie lata codziennie przeglądać do trzydziestu i więcej pism, nic więc dziwnego, że im odmówiłem wstępu do swego domu chcąc mieć w nim ciszę i spokój.

Dawniej miałem takie wzniosłe pojęcie o naszych wielkich działaczach politycznych, posłach, redaktorach! Poseł szedł zaraz po bohaterach narodowych, a często był nim samym, redaktor był człowiekiem wielkiej wiedzy i charakteru szlachetnego, a nieugiętego — dzisiaj wszystkie te pojęcia odebrały mi pisma, przez nich wydawane. Przez nie poznałem tych panów w ich własnych

sądach, dążnościach i czynach. Mało który z nich został na piedestale. Szkoda! tak w życiu potrzeba iluzji i optymizmu, a mnie została nieomal tylko szufladka z napisem: Kwiaty prasy polskiej. W niej składam naiwne, zuchwałe, niegodziwe i podłe głosy tych wielkości, które mało wiedzą i umieją, krótko widzą, ciasno myślą, najniesprawiedliwiej sądzą, zuchwale wyrokuja, najmniej mając do stracenia, największe krzywdy wyrządzają jednostkom i sprawie, naprawić zaś nic nie umieją, a nawet zwykle gdy mogą, nie chcą. Nic więc dziwnego, że tego rodzaju gazet jako narzędzi piratów i zatruwaczy studzien nie wpuszczałem do domu. (Nie potrzebuję żadnych wymieniać nazw. Te gazety bowiem, które przedewszystkiem mam na myśli, wedle zwyczaju swego, uczuwszy pocisk w sobie, odezwą się same i przez to stwierdzą, że oceniłem je słusznie. Inne, uczciwe pisma, które czcuję i popieram, będą wiedziały, że ich mój zarzut dotyczyć wcale nie może.)

Ale baba dostarczyła jednego dowodu więcej dla moich twierdzeń. Pokazało się na niej dosadnie, że nawet najpotulniejsze gazety mają szkodliwe bakterye.

Od wieków abonowała Przewodnika katolickiego. Nie wątpię, że pismo to jako organ rodzin i stowarzyszeń chrześcijańskich wywiera na nią — jak się zresztą z niniejszego studyum snadnie przekonać można — wpływ zbawienny, ale faktem jest,

że zarazem oddziałują na nią jak każde pismo rozzuchwalająco.

Dawniej dawałem na gospodarstwo z góry na cały miesiąc. Później pod wpływem zasad ekonomicznych księdza Wawrzyniaka chciałem tego zaprzestać, skoro pieniądze należy składać na rachunek bieżący w banku. Nie zanośiłem wprawdzie moich ciężko zapracowanych groszy tamdotąd, gdyż nigdy nie miałem ich dość, ale dawałem babie mniej, a zato w krótszych odstępach czasu. Raz gdy jej doręczyłem tylko 20 marek, rzekła:

— Co Ksiądz teraz tak daje kapaniną, przecież piszą w Przewodniku, że trzeba dawać na cały miesiąc, bo z takim drobiazgiem nie można się zagospodarować ani rozłożyć sobie wydatków, jak się należy.

Gdy przestałem miewać w domu gazety, zamówiła sobie jeszcze Wielkopolanina. Na moje zapytanie, dla czego to czyni, odpowiedziała, że jej nie dają innych gazet, więc tak czynić musi.

— A Przewodnik nie dosyć?

— Przewodnik tam!

Sądzić należy, że z Wielkopolanina jest zadowolona, bo od 7 lat codziennie go sobie przynosi z ajencyi i czytuje regularnie. Baba, jak Państwu wiadomo, służyła we wielu znanych domach i stąd chce wiedzieć słusznie, kto się w tych kołach żeni lub zamąż wychodzi, a przedewszystkiem, kto umiera.

Wiele sobie obiecywałem po wpływie Wielkopolanina na jej rozwój umysłowy w kierunku artystycznym, pismo to bowiem, jak wiadomo, zamieszcza artykuły o literackim zacięciu, uderzające dobrowym stylem, za pomocą których czytelnicy mają sposobność zapoznać się z najnowszymi prądami w sztuce i literaturze.

Myślałem, że przeczytawszy opisy podróży po Włoszech, Moja Pani z większym zajęciem przyglądać się będzie reprodukcjom dzieł prerafaelitów i zapragnie poznać quattroceto. Omyliłem się jednak. Bagatelizowała je jak zawsze.

Przyszła wystawa obrazów Fałata. Ponieważ miała większe upodobanie w sztuce nowoczesnej, sądziłem, że teraz »Wielkopolanin« zrobi swoje. Słusznie pismo to zwróciło jej zawczasu uwagę, że — akwarele Fałata, to ostatni wyraz sztuki w tym rodzaju malarstwa. »Trudno sobie wystawić, żeby ktokolwiek inny mógł wodną farbą stworzyć tyle tonacyi barw, dać tyle blasków światła i taką soczystość kolorów«, — ona nawet nie poszła na wystawę.

Popiel wystawił swoje obrazy w drugim Towarzystwie. Wielkopolanin tłumaczył »że jednym z najtrudniejszych zadań w malarstwie jest połączenie realnej prawdy z idealną, tak aby jedna drugiej nie imponowała; o ile bowiem hołdowanie jednostronne w naturze, odwzorowywanie onej bez względu na ujemne jej strony, nie tylko przykre-

robi wrażenie, ale zupełnie mija się z zadaniem sztuki, której celem jest uszlachetnić wyobraźnię, opromienić i dopełnić znamieniem ideału gdzie go niedostaje, o tyle znowu kierunek czysto fantazyjny ze szkodą prawdy jest bezcelowy, wiodący w krainę iluzji i w zakres bezpożytecznych kombinacji. Grzechy tych dwóch skrajnych kierunków nie rzadko dają się spostrzegać w utworach utalentowanych malarzy ze szkodą również sztuki jak i społeczeństwa. Pan Tadeusz Popiel z rzeczywistym zrozumieniem zadania sztuki unika umiejętnie hołdownictwa takim skrajnościom«.

Tak pisał Wielkopolanin.

W obec tego sądziłem, iż zapragnie naraz zwiedzić wystawę Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych i wystawę Towarzystwa artystów poznańskich, i ciekaw byłem bardzo, którą z tych dwóch organizacyi poprze. Widząc jednak, że się do tego nie zabiera, po paru dniach sam ją zainterpelowiałem:

— Czy Różia o tych obrazach nie czyta? — tak pięknie tam napisane — a co Różia czyta w ogóle?

— Ja tam czytam, co nowego.

— ? ...! ...?

Tak straciłem wiarę w skuteczność estetycznego wpływu Wielkopolanina na Moją Panią.

Pozatem jest Wielkopolanin źródłem radości w jej szarem życiu. Przedewszystkiem dla tego,

że nader trafnie umie dobierać dowcipy. Takie podchwytone z życia epizody wprawiają ją w zachwyty. Za każdym razem dzieli się ze mną tym przysmakiem dodając, że to zupełnie tak się dzieje, jak w tym a w tym domu. Dowcip taki utrzymuje ją parę dni w dobrym humorze. Oto przykład:

Pani wchodząc do kuchni: — Moja Maryanno, jeżeli nie przestaniesz gwizdać, to będę cię musiała odprawić. Gdzieżeś się nauczyła tego brzydkiego zwyczaju?

Kucharka: — U pana doktora, u którego przedtem służyłam, proszę pani. Ile razy mieli być goście, pani doktorowa mówiła: Pamiętaj Maryanno, jak goście będą przechodzili koło kuchni, gwizdaj jak możesz najgłośniej; będą myśleli, że mamy kucharza.

— U państwa Dziembowskich była też taka jedna, co tak gwizdała, dodała baba dla objaśnienia.

Nieraz jednak takie satyry smutnie odbijają się na mnie samym, skoro wyszuka w nich analogię do mnie lub mego zachowania się w obec niej. Raz przychodzi z miną tryumfującą i z palcem na łamie Wielkopolanina i każe mi czytać:

Każdy swego broni.

— Jużto trzeba przyznać kogutowi, że pierwszy budzi cały dom rano. Jest to dowód, że mężczyźni najwcześniej czujność swą okazują — mówił pewien gospodarz. — Nie, — odrzeczcie żona — to

tylko dowód, że mężczyzna zaraz krzyczy, jak tylko oczy otworzy.

— Aha! — zawołała z ukontentowaniem — a Ksiądz to też tak samo robi.

Ponieważ człowiek żaden nie może się zadowalać stopniem rozwoju, na jakim się znajduje, a zwłaszcza postępować powinien naprzód w dziedzinie społecznej, więc chciałem dla niej zamówić Gazetę dla kobiet.

Dobrze, że tego nie uczyniłem.

W trakcie bowiem moich zamiarów, przychodzi baba sama ze znalezionym gdzieś numerem gazety tej w rękę i zamiast wyrazić swe uznanie dla cennych, zasadniczych artykułów redakcyi o treści społecznej powiada:

— Niech ino Ksiądz to przeczyta:

Z r a j u m a ł ż e ń s k i e g o .

Mąż (mrużąc): Ładne gospodarstwo! u jednej koszuli obdarty prawy rękaw, u drugiej niema lewego!

Żona: Wielkie rzeczy! ubierz się w obie a będziesz miał obydwu rękawy!...

— A widzi Ksiądz! a Ksiądz już zawsze na mnie krzyczy, choć tylko niema guzików przy koszuli, a tu nie było całych rękawów!

Oczywiście odrzekłem się raz na zawsze zachwalania babie lektury specjalnie przeznaczonych dla kobiet.

§ 19. Sztuka w życiu Mojej Pani.

W epoce, która tak pilnie zajmuje się sztuką w życiu dziecka i sztuką na wsi wśród ludu, anachronizmem by było nie mówić o sztuce w życiu baby tem większym, iż istnieją po temu wszystkie dane.

Zajęła ona bowiem z biegiem czasu stanowisko do rozmaitych działów sztuki: do architektury, malarstwa, rzeźby, muzyki, jak i do przemysłu artystycznego i do estetyki. Odbyla też podróż do jednego z najwybitniejszych siedlisk sztuki.

Pojęcia jej w przeważnej części kierunków i dziedzin sztuki nie odbiegają jednak od zapatrywań przeciętnej inteligencji poznańskiej, tak iż nie będą niczem raziły przedstawicieli tych sfer. Nie wyróżnia ona się też z ogółu wiadomościami z historii sztuki, tak iż pod tym względem nie podpada ani nie irytuje swoją wiedzą. Różni się tylko tem od wielu pań z inteligencji, iż rzadko mówi o sztuce.

Podobna też jest do nich z tego względu, że nie miała za młodu sposobności nabycia wiadomości w tej dziedzinie, a gdy jej później po temu dano okazję, brakło jej potrzebnego zmysłu i wyczucia, że sztuka może mieć wartość dla życia ludzkiego.

Przed kilku laty powziąłem zamiar zabrać ją ze sobą na zimę do Monachium. Zależało mi na tem, aby przez czas mego pobytu tamże ratowała mnie od podłej bawarskiej kuchni. Spodziewałem

się jednocześnie, że to ognisko sztuki obudzi w niej i wyrobi zmysł artystyczny. Nieco się jednak omyliłem. Podróż tamdotąd i pierwsze wrażenia jej, odniesione w Atenach nad Izarą, zachowałem dla potomności. Opisała je ona sama w liście do jednej ze swoich przyjaciółek:

... Książd kupił mi w kolei dobre pół litra kawy zaraz ze szklanką i tak się najadłam na cały dzień. W kolei nie zmrużyłam oka ani na chwilę. Jak jednak musi być daleko! Kolej pędziła jak najbardziej i mało co się zatrzymywała. Jak okropnie się lękałam. Jak tylko jakie kominy zobaczyłam, to myślałam, że stanie, Tęsknić wcale nie tęsknię choć byłam na to przygotowana. Miasto wspaniałe. Nie tak sobie wystawiałam. Wczoraj byliśmy w kościele. Śliczny kościół. Zakonnice widziałam. Jacyś zakonnicy też byli. Wielki ołtarz tak wysoko, pewnie dwadzieścia stopni. Chciałam porachować, ale było dużo ludzi, nie mogłam dojść tak blisko. Wspaniałe wyglądał Książd odprawiając Mszę św. Na rynek bardzo daleko od nas, ale wspaniałości. Co tylko się może dostać. Jaki tylko drób i ptastwo. Poznań musi się skryć. Mięso jeszcze droższe jak w Poznaniu. Funt wieprzowiny po 1,30 m., wołowina po 1,20, cielęcina tak samo. Śmietana wyborna słodka i kwaśna...

Mógłby ktoś sądzić, że po pierwszych dniach, potrzebnych na zagospodarowanie się, zwiedzała muzea. To się jednak po niej nie pokazało. Załedwo dała się wyciągnąć na cmentarz w dzień Zaduszny. Ale nie spoglądała na posągi, tylko irytowała się na pompę, na światła i zieleni świeżej mnogość.

W trzy tygodnie już jej nie było. I ani tyle o Monachium nie opowiada co o Witkowie.

W obec tego, nie proponowałem jej też nigdy podróży do Włoch.

Tak samo by jej tam było poszło jak innym obywatelom z Poznania, którzy wróciwszy stwierdzają ze statysfakcją, iż plac św. Marka wygląda jak każdy inny rynek, iż zapalić mogli sobie cygaro od Wezuwjusza i zdołali napisać swoje nazwisko na tylnej części jednego ze synów Laokoona, — lub innym, którzy mając same nowe kamienice w Poznaniu, nie mogą zrozumieć, po co ludzie tam jeżdżą i oglądają testare rudery przy ulicach brudnych, po których nawet tramwaje elektryczne nie kursują.

Widocznie jednak jak tylu innym osobom tak i jej nie potrzebne są żadne wyjazdy za granicę, by nabrać pojęć o sztuce, bo bez nich też można wyrobić sobie sąd o przedmiotach sztuki.

Niestety tylko na mocy krótkich dyalogów i spostrzeżeń ulotnych mogę Państwu dać zarysy całokształtu jej zapatrywań na pojedyncze dziedziny sztuki.

Faktem jest nasamprzód, że w zabytkach sztuki przedhistorycznej u Słowian nie lubuje się wcale. Podczas lat spędzonych na wsi wykopałem cały zbiór najrozmaitszych naczyń glinianych, a wśród nich niektóre tak piękne jak klasyczne etruskie i greckie wazy. Tych »garnków« nie znosi. Twierdzi, że czuć z nich itd. i niechętnie na nie spogląda. Nie śmiem twierdzić, iżby przy ściera-

niu kurzu rozbijała urny, w każdym razie więcej mam teraz skorup niż dawniej.

Jako człowiek niezamożny nie mam wszystkich pierścieni w łańcuchu rozwoju sztuki, i stąd nie mogę egzemplifikować na nich zapatrywań baby w tak ważnych dziedzinach jak rzeźba grecka.

Przeskoczyć zaraz muszę do romanizmu. Gdy sobie kazałem zrobić kielich w stylu romańskim, (ze względu na jego powagę i założenie pierwotnego naszego kościoła w tejże epoce) wedle wzoru kielicha z pierwszej połowy XIII wieku, jaki się znajduje w katedrze w Chartres, żałowała tego, mówiąc, że za 900 marek (które mi na kupno kielicha dano) możnaby dostać większy i ładniejszy. Widocznie więc jest za temi kielichami, które nie są ani romańskie, ani gotyckie, ani renesansowe a więc — jak mówi znany nasz profesor — bez żadnego stylu, ale za to ozdabiane wyciskami z różnokolorowego złota i stąd wielkim cieszą popytem.

Co do gotyki to trudno powiedzieć, jak się zapatruje na jej okazy i przedstawicieli tego stylu. Nie zajmowała się nigdy specjalnie ani Pietą Riemenschneidera ani madonami Piotra Vischera i Wita Stwosza, które stały jej na widoku.

Podobnie było z preraphaelitami. Nie podpadało to jednak nikomu, iż przechodząc mimo reprodukcji obrazów Ghirlandaia, Botticellego, Perugina i Pinturicchia, lekceważyła ich sobie. W Poznaniu bowiem preraphaelici nie mają szczęścia do inteligencji.

która częstokroć nie wie, co o nich myśleć, a boi się przyznać, że ich obrazy jej się nie podobają.

Mniej obojętnie zachowywała się wobec Settignana księżniczki z Urbino, której biust gipsowy pomalowali pacykarze w Monachium na kolory szat. Przed nią skrupulatnie zamykała drzwi, aby nikt jej nie widział, chociaż suknię pani ta miała pod szyję. Kurz zaś z niej ścierała prawie tak starannie jak ze stołu.

Stara rzeźba barokowa w drzewie gruszkowem, przedstawiająca Tróję Przenajświętszą, nie znalazła dla ciemnego tonu drzewa jej upodobania.

Jeszcze mniej szczęścia miał do niej ów rokokowy parawan z obrazkiem à la Watteau. Właśnie ten, który tak niegodziwie się wywracał łamiąc sobie żebra.

Za to dla nowszej sztuki miała zrozumienie.

Rożek wyrzeźbił mi postać niewieścią z załamaniem rękoma i, z twarzą o idealnym smętku i zadumie cichej a głębokiej. O tej mówiła, że bardzo śliczna, — a plaketę przedstawiającą dwie postacie, ojca i syna, wydalonych z ziemi rodzinnej i żegnających się z nią, aby się udać na zachód, lubiła także. Mówiła, że to wygnani, (napis brzmiał też słusznie »Wydaleni«). Dużo zaś innej inteligencji nie zbliżało się wcale do tej rzeźby, bo jak mówili później przy okazji, zdawało im się, że to Adam i Ewa. Na nieprzyzwoite zaś rzeczy nie wypada w obecności drugich spoglądać.

Podobnie miała upodobanie w obrazach Wywiórskiego, Korzeniewskiego i Jackowskiego — tak jak nie znosiła z drugiej strony tandety.

Gdy Reksera przybyłego ze swojemi kiczami poprosiłem zaraz na wstępie, aby się ze mną pożegnał, już go więcej nie wpuściła do domu. Marynka zaś nabawiła nieznamomością rzeczy swego pana, iż kupił aż pięciu Rekserów. Obecnie chciałby je sprzedać, ale do tego potrzeba takiego, coby je kupił.

Tak samo okazała baba znajomość rzeczy, gdy swoje własne płótna, które dla urozmaicenia sobie życia na wsi popędzłowałem na stare pejzaże holenderskie, powiesiłem w sieni. Uważała widocznie, że jednak mimo ciemności jeszcze niejedno można było na nich dojrzeć, więc zawiesiła szyby mleczne we drzwiach firankami.

Zresztą jednak tak samo jak do wysokiej szlachty i przewielebnego duchowieństwa pod zaborem pruskim przemawiały do niej więcej obrazy o rzeckomej religijnej treści Sichla, Eberta, Maxa, Hoffmanna, Weelego, Deffregera i Liski. Ich też reprodukcyje wisiały w jej pokoju z darów i z własnego kupna pochodzące.

W architekturze lubiła śmiałe rzuty i wielkie przestrzenie.

Raz widocznie pod wpływem podziwu bezpośredniego potężnych linii architektonicznych wróciła od Fary i zaczęła się unosić.

— Już też niema jak ta Fara. Jaki też to wspa-
niały kościół! Gdzie ino spojrzeć, to ani nie po-
dobno gdzie to tam ten....

Pod tym względem różniła się znacznie od
wielu wybitnych obywateli naszych.

Podczas odpustu siedziałem raz na probostwie
obok reprezentanta magistratu i w pauzach pomię-
dzy występami gramofonu i mowami członków do-
zoru zajmowałem się rozmową z panem mecena-
sem. Rozmowa potoczyła się na Włochy. Wydało
się, że obaj byliśmy w Padwie i oglądaliśmy Bas-
sana Loggię del Consiglio.

— No i cóż Ksiądz powie na to?

Mówię tedy, jako człowiek nagle zagadnięty,
który nie wie, czego od niego chcą, że podziwiać
trzeba rozmach i śmiałość oraz poczucie harmonii
twórcy a zarazem ducha obywatelskiego mieszkań-
ców, którzy dali fundusze artystom do stworzenia
takiego dzieła sztuki.

Mój sąsiad słuchał wywodów moich niecierpli-
wie, aż wreszcie nie mogąc wytrzymać dłużej za-
wołał:

— No, ale czy to nie jest czysty Grössen-
wahn! Moja kamienica jest 16 metrów głęboka,
40 metrów długa i 30 wysoka, a onaby się prze-
cież cała w tę salę zmieściła, a ci w takiej Padwie
budują sobie taką salę sądową! No, czy to nie jest
istny Grössenwahn?

Zato nowoczesnego upodobania w przemyśle artystycznym względem empiru i Biedermeierów baba bynajmniej nie podzielała. Gdy udało mi się wynaleść jaką dobrą rzecz i sprowadzić ją do domu, wtedy anonsując jej przybycie, wołała:

— Znów tam jakiś rupieć przynieśli!

Jest natomiast wielką lubowniczką muzyki. Ponieważ w domu było głucho i pusto, więc wymagała odemnie, abym się uczył na fortepianie. Gdym jej tłumaczył, że już na to zapóźno, bo słuch mam zaniedbany, krzyknęła na mnie:

— Bo to prawda! — ino się Księdzu nie chce. Jakby Ksiądz chciał, toby się nauczył.

Ponieważ jednak rozmaici znajomi i krewni twierdzili, że w mojem mieszkaniu jednej tylko jeszcze rzeczy braknie, to jest fortepianu, więc postanowiłem sprawić sobie taki instrument, któryby mi ułatwiał przyjęcie gości, a im porozumiewanie się w sprawach dyskretnych.

Ledwie pomyślałem o tem, a już profesor Drygas zrobił mi ofertę na znakomity fortepian, nieco przechodzony, ale lepszy niż nowy. Chociaż w przeciwieństwie do innych osób, które nie rozumieją wartości popierania na pierwszym miejscu rodaka, jestem za tem, żeby na wszystkie występy muzyczne tylko od zacnego profesora brać fortepiany, to jednak wypadało mi zwrócić się w stronę jeszcze bliższą: za ścianą stał u panien Tykelmann fortepian. Należał on do gatunku grzecznych for-

tepianów, gdyż nie odzywał się nigdy. Poprosiłem więc o niego. Przyszedł Horaczek dwa razy, stroił go i piłował i wyjął zeń kawałek drzewa, (o czem czcigodne panny Tykelmann nie wiedzą dotąd), przytem mówił coś do mnie, a na końcu nazwał go starym tamburmajorem i poszedł. Mimo tej operacyi fortepian charakteru swego poprzedniego nie stracił, nigdy prawie się nie odezwał, chyba w chwili, gdy baba zeń kurz ścierała.

Także i inne muzy miały w Mojej Pani swoją zwolenniczkę.

Długi czas nie chodziła do teatru. Sądziłem, iż podzielała zdanie, jakoby nie należało uczęszczać doń, jako do niemoralnego miejsca. (Jest to zdanie pewnej kategorii obywaterek na wsi, będącej w przeciwieństwie do miejskiej inteligencyi, która żąda, aby księża teatr popierali: panie te bez względu na treść sztuki gorszą się z samego pobytu księży w teatrze i w oburzeniu obnoszą ich nazwiska po mieście.) Pokazało się jednak, że trzymała na tem polu z ogółem i była namiętną melomanką. Gdy raz otrzymała od pani Gantkowskiej bilet do teatru, wpadła od razu w dobry humor, mimo że miała prasowanie. Oczywiście, jak się w takich wypadkach dzieje u kobiet, mówiła, że wolałaby zostać w domu. Mimo to przygotowała mi lepszą kolację.

— Co dzisiaj dają w teatrze? — zapytała się, przynosząc mi pierwsze danie.

— Ja nie wiem, nie chodzę do teatru.

— Ksiądz nie wie? — przecież Ksiądz powinien wiedzieć takie tam ten...

Wzdrygnąłem tylko ramionami. Gdy się za-
brała, dałem jej klucze od domu i zapalki i zawie-
siłem jej wielką lornetę praską w puzderku na
szyi. Na widok tych oczepin krzyczała z radości,
choć wzdrygała się nieco. Więc ją zapewniałem,
że w całej Europie, w Paryżu, w Berlinie, we Wło-
szach wszyscy Anglicy chodzą tak do teatru. Nie
zdjęła zatem lornety, tylko poprawiła pasek na szyi,
żeby nie wrzynał się pomiędzy koralami w ciało.
Na rękę zaś zawiesiła wielki, czarny, adamaszkowy
pompadur na długich aksamitnych wstążkach, który
jej w tym celu darowałem na gwiazdkę. I poszła.
Wiele byłbym dał, gdybym był mógł ją widzieć na
przedstawieniu. Byłbym też Państwu jej zachowanie
się opisał. Tymczasem pod grozą kar kościelnych
zakazała była nam władza uczęszczania do teatru
kilka dni poprzednio. Było to bowiem pod koniec
roku 1909.

Poszedłem więc na zebranie Unitas do księdza
oficyała Dalbora, na którym miał ksiądz Mrugas
wykład o duszpasterstwie we wielkiem mieście.

O 11-tej wróciła. Była rozpromieniona i ga-
dała w uniesieniu.

— Jej! jak oni tańczą! ślicznie! ani nie umiem
powiedzieć. Tylko wesele było bez wiktu. Po
szwedzku byli ubrani. Najwięcej śpiewali, a taniec

to tak jak konie, nie taki zwyczajny, a najwięcej klaskali. Jak ta przyszła ze swoim mężem (Faliszewska - przypisek składacza) już tak było ładnie! Bym mogła całą noc na ten taniec patrzeć.

— A muzyka podobała się Rózi?

— Muzyka? to już tak ładnie nie grali jak w Częstochowie. Siostrzenicy mąż też graje w teatrze, na klarncie, niby na takiej ten...

— A czy tylko było wszystko przyzwoicie?

— Przyzwoicie było bardzo, nie mogę mówić!

— A lorneta przydała się Rózi?

— Lorneta to bardzo się przydała. Jak się chciało widzieć, tak dycht i na twarzy. Bóg zapłać!

Cały wieczór w świetnym była humorze i ciągle w kuchni mówiła do psa.

Pokazało się, że była na Wesołej Wdówce.

Żeby więc podnieść poziom jej moralności i pojęcie o scenie polskiej, posłałem ją sam na Halkę. Wybrałem pierwszy rząd na parterze, żeby wszystko słyszała dobrze. Wróciła z daleko mniejszym humorem. Tylko na wstępie zawołała: Halka się utopiła!

— No, a jak zresztą było?

— Tak tam, znów było wesele bez wiktu. Śpiewy takie były nudne, ale niektóre ładne. Tylko już nie pójdę nigdy na dół tak blisko, bo im wszystko widać, a na trzecim piętrze to nie.

W obec tego długi czas pojąć nie mogłem, iż sama nie śpiewała nigdy. Przecież nie można

było do niej stósować przysłowia, iż źli ludzie nie umieją śpiewać. Siostra jej nuciła sobie zawsze, ilekroć sama została w kuchni, wiejskie swe piosenki. Baba nigdy. Dopiero, gdy na amatorskich koncertach rozmaite panie poczęły ze siebie wydobywać we wielkiej męce tony takie, jakie nigdy do nich nie należały, i nacierpiałem się srodze, (choć to nie było we wielkim poście, lecz w karnawale), wpadłem na myśl, iż ona pewnie głosu nie ma. I rzeczywiście posiadała ona ambycję, iżby się nie produkować z tem, czego jej Bóg odmówił.

Jakie ma pojęcia o zadaniach muzeów i jak się szczególnie na poznańskie zbiory zapatruje, nie mogę objaśnić nikogo. Wiem tylko, że w żadnem muzeum nigdy nie była. Sądzę jednak, iż dla Towarzystwa Ludoznawczego usposobiona jest przychylnie. Do muzeum jego oprócz swoich ubiorów, wstążek i koralik mogłaby oddać stroje wykrawane z papierów kolorowych do ubierania półmisków. Temu przemysłowi artystycznemu bowiem się poświęca z pasją. Taką zaś sławę uzyskały jej wyroby, iż przyjaciółki z prowincyi zamawiają je sobie u niej. Więc godzinami wieczornymi strzyże papiery i robi w nich wedle rozmaitych systemów dziurki.

Trudniej powiedzieć coś o jej stósunku do poezyi. Gdyby się tylko tych ludzi nazywało poetycznymi, którzy poezye piszą i czytują, wtedy nie możnaby twierdzić, że poezya dla niej istnieje i gra

rolę w jej życiu. Kto jednak rozumie, iż i w życiu najprostszem znachodzą się utwory najpiękniejszej poezyi, niepisane, lecz przeżyte i wiecznie żywe, ten czytając niniejszy obraz życia sąd sobie w tej sprawie wyrobi i odpowiedź znajdzie dla siebie.



§ 20. Zapatrywania polityczne.

Jedno ma wspólne z wielkimi politykami: niewiadomo, jakie ma zapatrywania polityczne. Miałem nieraz chęć zapytać jej się, czy stoi po stronie narodowej demokracji, czy też jest za realną polityką, ale nie śmiałem. Już samo takie pytanie mogło ją było naprowadzić na myśl, że popieram tę lub ową partję, a duchowieństwo powinno unosić się ponad partjami, tak iżby każde stronnictwo sądziło, że ono do niego należy i szczególnie je popiera.



§ 21. Rozwój patryotyzmu.

Szowinizmu narodowego nie znała.

Gdy przyszedł po źebrocie Niemiec, a ja odmówiłem mu wsparcia twierdząc, że Niemcy dosyć mają opieki ze strony rządu, baba mnie strofowała:

— Tak już być przecież nie może! Młody w podróży to potrzebuje. Niemcy też wspierają Polaków.

W pierwszych latach jej pobytu w moim domu nie mogłem osądzić, w jakim stopniu jest Polką i o ile jest uświadomioną narodowo.

Nie spostrzegłem bowiem, aby dawała na jakiegokolwiek nasze cele narodowe, czytywała pa-tryotyczne książki, zawieszała obrazki treści naro-dowej na ścianie, brała udział w obchodach na-szych lub należała do jakiego towarzystwa. Tylko po torebkach papierowych wiedziałem, że trzymała się zasady: swój do swego; od Niemca nigdy to-warów nie brała. Poprzedniczka jej, która czytać nie umiała, kupiła garnitur słojków do korzeni z napisami niemieckimi. Baba, skoro tylko ujrzała »Pfeffer«, »Nelke«, »Ingwer«, wszystkie słojski napisami poobracała do ściany. Ale pozatem nie okazywała poczucia polskości.

Uświadomili ją dopiero Niemcy sami.

Najprzód przez Wrześnię.

Właśnie opisały były gazety tłumne bicie dzieci i przebieg procesu. Siedziałem sobie przy śniadaniu, gdy baba przyszła i położyła talara na stół.

— Niech to też razem Ksiądz pośle na te biedne dzieci, bo to przecież prawie ani nawet niepodobna, co te Niemczyska z temi dzieciszczkami wyprawiają!

Wiem, że wóczas nie powiedział na to nic. To pierwsze drgnięcie duszy polskiej w babie było dla mnie objawieniem. Ona, która dotąd na żaden cel polski narodowy nie dała fenyga, która jako jedyny dobry cel znała ofiarę w kościele i jałmużnę dla biednych, która dla siebie taka była zawsze oszczędna — ona dała całego talara, całe wóczas zasługi swoje tygodniowe, na cel nasz dobroczynny, ale zarazem wybitnie *narodowy*. W następnych dniach przynosiła mi jeszcze trojaki i złotówki.

— To tu dała Marynka, to jest od Jagusi, a to od Fraśi.

Odtąd już jej Prusacy ze swej szkoły nie wypuścili.

Miała ona przyjaciółkę w Grodzisku. Z tą korespondowała często i z przyjemnością. Lata całe wszystko było w porządku, aż nagle list ostatni się wraca z dopiskiem »Grodzisk unbekannt«. Baba przychodzi do mnie z listem i pyta, co to znaczy. Tłumaczę jej, że poczta przestała znać Grodzisk i zna tylko Grätz. Ale to na nic się nie zdało.

— Bo to prawda! — krzyknęła — tyle lat znali i wiedzieli, dokąd list posłać, a teraz to nie mają wiedzieć. To niby przez noc można tyle zapomnieć? Niech mi już Ksiądz nic nie mówi, bo mi się aż coś dzieje.

Teraz wojna rozpoczęła się dopiero na dobre.

Na pocztę nie chodziła nigdy chętnie, naj-
 przed dla tego, że właśnie postanowiła sobie coś
 innego robić, a potem, że przy okienku ekspedy-
 cyjnym musiała zwykle czekać dłuższą chwilę.
 W czasie owych rozporządzeń, nie ogłoszonych
 nigdzie i stąd nieznanym nikomu, nie chcieli od niej
 na pocztę przyjąć przekazu, ponieważ jak zwykle,
 obok niemieckiej nazwy miejscowości napisałem
 nazwę polską. Musiała się wrócić. W złości opo-
 wiadała mi, czego oni teraz żądają. Przekreśliłem
 nazwę polską. Poszła powtórnie i czekała. Ale
 gdy na nią przyszła kolej przy ekspedycy, urzę-
 dnik przekazu znowu nie przyjął, bo w adresie nie
 wolno nic przekreślać. Więc ponownie, nie wskó-
 rawszy nic, wróciła w pasy wielkiej do domu po
 nowy przekaz. Gniew rósł w niej tak, iż gotowa
 była pierwszego lepszego Niemca, któryby jej
 w drogę wszedł, już nie tylko wyzwać, ale wręcz
 poturbować.

A dopuszczeń takich znosić jeszcze musiała
 bez liku, bo poczta nie ogłosiła żadnych wskazo-
 wek, i wszyscy byli bezradni. Pisałem tedy na
 listach poleconych dwa adresy: osobno polski, oso-
 bno niemiecki. Znów nie przyjęli. Kazała mi więc
 pocztę zaskarżyć. Procesowałem się i w dwóch
 instancjach przegrałem. Pieniądze, wydane na
 kosztu procesu, wołają według niej i wołać będą
 o pomstę do nieba.

Potem ni stąd ni z owąd zezwoliła poczta na

»Wielmożny«. Gdy napisałem: J. Wielmożny — nie przyjęli listu.

— Was heisst das J.? das heisst jaschnie — is nich erlaubt, — referowała mi, trzęsąc się ze złości.

Raz wróciła z poczty z ogromną satysfakcją. Była przytomna temu, jak jakiś wiarus — jak mówiła — wyzywał urzędników za przeinaczanie polskich nazw miejscowości i powstałe ztąd nieporozumienia.

— A czemu to kanalizujecie, a nie kolonizujta, a widzicie: macie teraz waszą kanonizację, że nic odnaleść nie możecie. — Tak im prawił, jak ino tylko umiał, tak im gadał — opowiadała mi z ogromną satysfakcją.

Odtąd pod wpływem wypadków, nowych weksacyi, dyskusyi na ulicy i na targu wzmagało się jej zajęcie naszymi sprawami publicznymi. Widać było, jak dotknięte do żywego uczucia patryotyczne gwałtownie nurtowały i kłębiły się w jej duszy; ale nie zaraz się z niemi odzywała. Tylko czasem przy sposobności wybuchał nagromadzony ból i pragnienie odwetu.

Gdy zamordowano 1908 roku króla portugalskiego, nie mówiła nic, że jej go żal, ani też nie oburzała się na królobójstwo, tylko ku memu przeżeniu zawołała:

— Tego Bülowa teżby powinni tak sprzątnąć!

Nie był to objaw bezmyślnego szowinizmu. Daleko patrzyła. Wiedziała, że nie chodzi o osobę, lecz o system.

Wobec dymisji Bülowa sądziłem, że będzie się cieszyła z jego upadku. Pytam się więc:

— Co też Różia mówi na to, że Bülow dostał terminatkę?

— Co mam mówić, kiedy ten teraz też nie lepszy. Jednak Bülow nie chciał, żeby zapalki i kawa były droższe. Dobrze mu zrobili, ale temu też tak powinni zrobić, kiedy on taki.

I w tej polityce swej antypaństwowej była konsekwentna. Od czasu ostatnich ustaw podatkowych znajdowałem zapalki z upalonymi główkami w pudełkach razem z całami. Sądziłem, że baba to czyni z roztargnienia i puszczałem płazem. Raz wreszcie zniecierpliwiony próżnem pocieraniem, zakazuję jej tego procederu.

— Co? to ja nie miałabym tego robić? Muszę przecież oszczędzać jak mogę, żeby Niemcy nie miały tyle dochodów z tych podatków i tak się nie panoszyły potem z naszych pieniędzy.

Równocześnie zaś uczucie narodowe rozwijało się pozytywnie i bujnie. Doszło do tego, że nabrała zrozumienia dla znaczenia i wartości naszych wieszczów. Gdy w czasie mojej nieobecności przypadła rocznica stóletnia urodzin Słowackiego, i baba przeczytała życiorys poety i zawezwanie do uroczystego obchodu, poszła do pani Gantkowskiej

zapytać się, »czy to też aby jest wszystko prawda co gazety piszą o tym Słowackim, i co to był właściwie za jeden«.

Dowiedziawszy się prawdy, kupiła zaraz po drodze nalepek na okna, i jak człowiek, któremu przez wiedzę coś przybyło do duszy, wróciła do domu święcić uroczystość narodową.

— A Panie będą też iluminować? — zagadnęła sąsiadki.

Otrzymawszy opryskliwą odpowiedź, zawołała na nie:

— To chyba Panie nie są Polki, kiedy tak!

Pół roku później, gdy zbliżał się obchód Chopinowski, nie mniej jak cztery razy upominała mnie, abym tylko nie zapomniał kupić nalepek.

Względem prawdziwych ofiar nie można było oczywiście nagle wystawiać jej patriotyzmu na próbę.

Gdy z innej dzielnicy lub z prowincyi przybywali np. chłopcy, których miałem przyjąć u siebie i ułatwić im poznanie miasta, humor baby stał niżej zera. Zniszczone posadzki, zabłocone dywany, ambaras z noclegiem, prznosił sumę ofiary osobistej jej budżetu na cele ojczyste.

Patryotyzm jej doznał jednak jeszcze pogłębienia i spoił się nierozzerwalnie z najsilniejszymi pojęciami i uczuciami — z religijnością — przez jedno jedyne zajście, przez pobyt w Częstochowie. Widok pamiątek po królach naszych, cenne ich

wota, historyczne mury Częstochowy, obecność na przedstawieniu »Obrony« sprawiły, że religijność jej nabrała silnego zabarwienia patryotycznego. Poczęła odtąd studyować nasze dzieje i czyny naszych królów i bohaterów i kochać Polskę tę wielką i świętą, jaka była w historyi i w nas wszystkich żyje...

§ 22. Świat pojęć religijnych.

Zbytecznymby było stwierdzać, że na zewnątrz nie wygląda jak pitusia chodząca w brązowej spódnicy i czarnej chustce, ze spuszczonei oczyma, z owiśłemi na dół usty i smutnym nosem, albo też z miną wyrażającą hardość, lekceważenie dla drugich, sąd o bliźnim ostry i uszczypliwy.

Robi raczej wrażenie istoty zrównoważonej, silnej i zdrowej moralnie, która nie ma kłopotu ze sobą, ani też nie bawi się w niepotrzebne uwzględnianie drugich.

Ma ona przymiot oświeconego kmiecia polskiego w przeciwieństwie do ciemnego ludu, przymiot najcenniejszy: prawdziwej religijności, która jest źródłem, drogowskazem, probierzem, światłem i zwierciadłem życia. Nic zabobonu i fatalizmu, a z drugiej strony żadnych kompromisów ze sumieniem; na to, co uważa za obowiązek, nie ma u niej dyspensy. W jej wieku łatwiej wprowadzie

o to, niż w latach młodych, ale żeby mieć dojrzałość i równowagę ustaloną wewnątrz, na to potrzeba długich lat wykszolenia i trzymania w karbach woli i miarkowania porywów.

Ma też tę dobrą pobożność, którą się nie tyle widzi, co czuje, — tę, która nie wchodzi w kolizję z obowiązkami innemi, — która jest przede wszystkim dla człowieka samego, a nie ze względu na opinię, — której objawów względem życia kościelnego nie ogląda się ciągle, ale o której istnieniu i uwydatnianiu się w tym kierunku jest się najmocniej przekonany.

Miałem raz gospodynię, która budziła mnie zawsze dodnia, aby się spytać, czy może teraz iść do kościoła. Musiałem się przed nią zamykać. Co do baby nigdy nie wiedziałem dokładnie, kiedy idzie na Mszę i ucześnie do Sakramentów św., ale wiedziałem zawsze, że się to dzieje. Wiem też, że nie naprzykrza się spowiednikom. Gdy przyjdzie do kościoła, a wiele jest ludzi, wtedy — mówiono mi, — pomodli się i wychodzi i wraca kiedyindziej. Nie mówi ani o ludziach notorycznie źle czyniących, ani nie uwielbia odznaczających się kumulacją nabożeństw. Z podziwem wyraża się tylko o ludziach pracy i poświęcenia.

Nie gorszy się. Jest to zupełnie naturalnem. Im mniej ma ktoś rozumu i serca, tem łatwiej i częściej ogarnia go zgorzenie.

Ma też ten wytrwały przymiot wyrobienia reli-

gijnego, że wiary jej ani pobożności nie zmniejsza świadomość o niedostatkach, zachodzących u sług Kościoła. Gdyby była słyszała owe panie strwożone i wypadłe z równowagi na wieść o wystąpieniu księdza W. ze zakonu i wstąpieniu do kleru świeckiego, pytające się, czy one mogą się jeszcze stosować do jego nauk i wskazówek, byłaby się z nich śmiała i urągała im znacznie. Na ich szczęście z takiej mieszaniny pojęć nie dostaje się wiele do jej uszu.

O jej lekturze pobożnej, rozmyślaniach i modlitwach powiedzieć nic nie mogę, bo dyskrecya jest najważniejszą zasadą w życiu domowem. Przechodząc tylko czasem wieczorem przez kuchnię spostrzegalem, że z starej, zużytej książeczki czytuje Naśladowanie św. Tomasza à Kempis. Na Mszę chodzi zwykle w dni powszednie o 7 i pod tym względem jest stanowczą. Nie mogłem jej doprowadzić do tego, aby chodziła na 6, a przez to miała więcej czasu do porządków w domu. Napróżno stawiałem jej jako wzór inne dusze pobożne. Tylko się na mnie za to oburzała. W niedzielę chodzi zwykle także na 7. Prawdopodobnie przyjmuje wtedy nieraz Komunię św., gdyż w te dni nieobecność jej dłużej trwa niż zwykle. Irytuje ją tylko, gdy który ksiądz odprawia Mszę dłużej, niż pół godziny. Ze słuchania kazań zwalnia się prawdopodobnie dla braku słuchu. Ku memu zdziwieniu chodziła jednak czasem na kazania moje. Nie wiem,

czy wtedy brała sobie więcej do serca słyszane tam nauki, aniżeli miewane w domu. Faktem jest tylko, że nieraz do mnie nawzajem rozpoczynała kazanie. Widocznie chciała sobie wynagrodzić za to, że nie mogła przyjść do głosu w kościele.

Po południu po umyciu statków następuje w niedzielę uroczyste siedzenie na krzeselku i dumanie. Raz na miesiąc zebranie Dzieci Maryi we wielkiej gali, z medalem na niebieskiej wstążce na szyi i obrączką oblubienicy na palcu. Czasem wizyta. Dokąd i do kogo, rzecz dyskrety. Na czas na kolację powrót.

Przez cały wielki post jako i we wszystkie soboty roku pości i potraw kraszonych tłuszczem nie je, ale w pierwsze święta — zdaje się — jada mięso. Nie tak jak rozmaite przewrotne dusze, które umartwiają się właśnie wtedy, gdy reszta chrześcian się weseli.

Pobożność jej nie jest jednak, jakby się wydawało z jej usposobienia, chłodna i trzeźwa; ma swoją poezję. Szkaplerze posiada, różańce, medalioniki, wodę święconą, ściany pełne obrazów Świętych, codziennie też pamięta — nie tylko w soboty — zapalić w pokoju jadalnym lampkę przed Matką Boską Częstochowską. Gdy zaś wyjeżdżałem w dalsze podróże, zaszywała mi w rogi kamizelek pokrywomę medalioniki, strzegące od złego.

Mimo tego biernego, cichego życia religijnego zajmowały ją żywo sprawy kościelno-polityczne.

W dniu wyboru Piusa X. przyszedłszy z redakcyi do domu pełen nowiny świeżej obwieściłem babie, że wybrano nowego papieża.

Baba zaskoczona zastanowiła się nieco. Połknąwszy nowinę, zapytała:

— A czy też aby będzie dobry ten nowy papież?

— Jakto? — chciałem się zapytać zdumiony, ale baba sama wytłómaczyła się z zapytania.

— Bo ja czytałam, że też byli źli papieże...

Trawiła jednak tę wiadomość dłużej i pozostała przy niej, gdy przyniosła drugie danie.

— A czy jest aby Polak?

— Nie.

Chwilka pauzy.

— Ale umie po polsku?

— Nie, też nie.

Tego było naraz za wiele. Przystanęła przy stole, aż przyszło nagle objawienie:

— Aha, już wiem, to pewnie będzie taki dojczkatolik...

Gdy za trzecim razem wróciła, rzekła z ulgą:

— No, Bogu dzięki, że się i tak skończyło, bo jeno się ciągle bałam, żeby tego Koppa aby nie wybrali. Ani spać nie mogłam.

Rzeczywiście świat jej religijny bynajmniej nie był międzynarodowy. Przeciwnie jest zabarwiony — jak wspomniałem wyżej — nader nacjonalistycznie.

W r. 1909 gdy zbliżały się moje wakacje, dowiadywała się u znajomych, kiedy jadę i kiedy wrócę. Postanowiła sobie bowiem jechać do Częstochowy, a pielgrzymka odbyć się miała od 1—10 września. Zastósowałem mój wyjazd do jej życzenia i baba puściła się w swoją drogę.

Z podróży, z miejsca samego i z najwyższych kondygnacyi wieży jasnogórskiej pisywała do mnie do Engadinu karty. Tylko słów parę, obiecując, że powróciwszy wszystko opowie.

Tak też uczyniła.

— Jechałam na cudze nazwisko, — tak opowiadała dosłownie, — a ciągle musiałam sobie po drodze powtarzać, aby nie zapomnieć przy wywoływaniu. Żałowałam, że nie zabrałam nic ze sobą, bo wcale nie rewidowali. Tylebym była mogła przewieść! Cały tydzień byliśmy w rzeczach. Raz na dzień się jadło, a cały dzień był zajęty, ani pacierza od szkaplerza nie odmówiłam. Najęte mieliśmy koło klasztoru kwatery po 30 fen. za noc. Leżeliśmy jak w trumnach. Rąk nie mogliśmy wyciągnąć, bo zaraz był drugi. 14,80 mk. zapłaciliśmy razem za kolej, furmanki pod pakunki i Msze i nauki. Pierwszego dnia nas wprowadzili. Szliśmy z 8 chorągwiami. Znakomity mówca O. Alfons nas witał, że to z zaboru pruskiego; myślał, że już tam nie ma Polaków. A tu taka moc. — »Niech żyje Poznań«, cały naród wołał. Tego narodu co tam było!

W kaplicy tak podusili, że nie można było oddychać. Choć ma miejsce, to się pcha. Podkowy mają i rąbią. Zatratowali z łódzkiej kompanii jedną na śmierć. Jak wzruszająco, gdy obraz odślaniają!

Dwóch kleryków z Prus szło z nami. Bardzo delikatni byli, razem chodzili na wały i po kompanie wychodzili. A księża to w takim kurzu chodzili i prawili kazania. — Ksiądzby już w takim kurzu nie szedł — dodała.

Byłam też na Obronie Częstochowy.

Przedstawienie trwało od 4 do 1/2 11. Trzydziestu muzykantów grało. Jak skończyli, ksiądz miał mowę.

Na wystawie bardzo wszystko było ładnie, jak to tam na wystawie jest. Pierwszy raz byłam, to nie wiem, jak gdzieindziej.

Skarbiec zwiedziłam. O królach polskich wszystko widziałam, więcej niż inni, bo dałam więcej na piwo. Kupiłam sobie książeczkę i teraz wszystko wiem.

Zabudowania ogromne, wspaniałe stacye. A co tego narodu! Krakusy z pasami byli, ślicznie poubierani. Z jakich tylko stron Polski byli ludzie. Co tam się dzieje, niepodobieństwo powiedzieć! Pożegnanie było bardzo ładne. Każdy dawał na ofiary, Mszę św. zamawiali, chyba nikt bez niczego nie odszedł.

Wyprowadzało dwóch księży i błogosławili laskami. Niech żyje Poznań! — cały naród wołał...

Przez wiele tygodni po powrocie w łagodnym i podniosłym było usposobieniu. Na samo wspomnienie ożywiała się i obiecywała, że na drugi rok musi znów pojechać.

Odtąd ciągle czytywała o skarbcu i królach polskich.

— Książdz też powinien dać ten swój ornat do skarbcza — królowie podobny też dali — zdecydowała przy tej okazji.

Na koronację obrazu sama nie mogąc jechać posłała siostrę. Wszelkie opisy jej podróży studjowała starannie i wymagała szczegółowego referatu.

Odtąd — jak już mówiłem — uczucia jej religijne nieodłączne były od narodowości polskiej. Raz się dostawszy w ten świat nigdy już z niej nie wyszli królowie polscy i nasze dzieje. One dały osobny, narodowy koloryt jej nabożeństwu.

Świat wierzeń stał się pod wpływem Częstochowy narodowo-polski.

§ 23. Ramy materyalne życia i działalności Mojej Pani.

A. Nieco o dzielnicy miasta, którą zamieszkiwała.

Jedną z dziedzin, w której spotykały się czę-

stokróć nasze zapatrywania, było niezadowolenie z środowiska, w którym zamieszkaliśmy.

Ulica jest zwierciadłem kultury mieszkańców. W krajach wysoce cywilizowanych szczególną pieczołowitością otacza się ulicę. Nad mieszkaniem, domem, podwórzem czy wirydarzem czuwa właściciel i lokatorzy, nad ulicą mieszkańcy jej wszyscy oraz osobne organa administracji miejskiej. Stąd w krajach tych ulice są zamiatane i splukiwane, domy myte.

W dzielnicy, którą zamieszkuje, rzeczy mają się inaczej.

Ulica to śmietnik. Pluje się na nią, rzuca papiery, śmieci z okien, łupiny, odpadki wszelkie.

Takimi ulicami musiała baba przechodzić codziennie i srożyła się na nie szczególnie w dni targowe. I trzeba przyznać, że było o co. Targ na owoc i handel drobiem, jakie się odbywały przed moimi oknami trzy razy w tydzień, miały w sobie coś wschodniego nie tyle barwnością, ile brudem i biedą. Z Królestwa przybywały żydy z drobiem, a z prowincyi sadowi. Łachmanami ogromnemi przekładali na drogę swoje klatki z drobiem, a sadowi swoje solówki, i te łachmany zarzucali na swe konie na ochronę przed skwarem lub zimnem i przed owadami rzucającemi się na otwarte, świeże lub zropiałe rany okaleczających zwierząt. Mnóstwo os, szerszeni i much w najrozmaitszych gatunkach oblegało ten obóz handlarzy, chłopów, bab, »pań«

kupujących. Od wczesnego zaś ranku do południa unosił się nad tym obozem wrzask, hałas, przysięgi, złorzeczenia, klątwy. Nieraz też staczano bitwy, po których na bojuwisku zostawały cząstki peruk, połamane klatki i wydarte pióra.

Każdy stan ma właściwe sobie konie. Są konie cugowe, chłopskie, są konie lekarzy, konie proboszczowskie do karetki z niebieskimi firankami, doróżkarskie, zaprzysiężone na asfalt i bruk kostkowy, jest koń rzeźnicki, jeden, zawsze kłusem pędzący, są konie żydowskie do biedki i koń sadowego. Od czasu jak żydy w Księstwie powynosiły się ze wsi i miasteczek, zginęła razem z nimi typowa żydowska biedka. Został tylko koń sadowego. Każdy z nich to klasyczny model konia z wadami i żywy preparat patologiczny. Sądzę, że malarze potrzebujący motywów do tematów w rodzaju: »Rozdzióbią nas kruki, wrony...« mogliby się zwracać po modele do sadowych. Cała groza niedoli, upadku, niedostatków i chorób, całe pasmo znęcania się nad bezbronem stworzeniem, cała tragedia powolnego zabijania wszelkiej ambicji i odbierania godności i szlachectwa duszy odbija się w tych biednych stworzeniach.

I te potworne w swej brzydocie i nędzy istoty zjawiały się regularnie przed naszymi oknami i stawały w rzędach. Z daleka o mil kilkanaście z wszystkich stron prowincji na noc ciągnęły do

Poznania i przybywały około trzeciej, czwartej z rana na rynek.

A wycieczki te rozpoczynały się wiosną, gdy dojrzewały pierwsze czereśnie, agrest i pożeczki, kończyły zaś późną jesienią resztkami zamarzłych jabłek.

To był zwykły widok przedstawiający się oczom baby trzy razy w tygodniu.

Od tych żydów i sadowych nie kupowała nic, nie spojrziała nawet przechodząc na ich zapasy. Z pewną wyższością tylko stawała na balkonie i lornetą, pokryjomu wziętą z puzderka, badała ściślej szczegóły tego obrazu. Z latami coraz większą doń czuła odrazę.

Gdy nie było targów, harcowały po rynku dzieci, — dzieci bezdomne. Takie co nie mają nie tylko dziecinnego pokoju, ale wogóle domu, których ojciec bywa w domu tylko w nocy, a których matka dom zamyka idąc rano na posługę, aby dzieci nie zdemolowały lub nie podpaliły sprzętów, zostawszy na opatrności boskiej.

Ponieważ nikt na nie nie uważa na ulicy i nikt ich nie uczy, jak się mają bawić, więc się bawią po swojemu wedle swoich instynktów i odwiecznej tradycyi ulicy. Nigdy więc nie mówią, zawsze tylko krzyczą, zwykle się wyzywają, prawie nieustannie potracają i biją. Żeby taki dzieciak mówił spokojnie, nie zauważyłem nigdy.

Mam takie usposobienie, że, gdy deszcz pada,

jestem smutny i przynajmniej $66\frac{2}{8}\%$ niezdolny do pracy. Najchętniej leżałbym takiego dnia, jak to robi pies, skulony w kącie kanapy i spał. A jednak wobec tego wrzasku, beku i krzyków jedno tylko miałem pragnienie przebywając w domu, aby deszcz zaczął padać i powpędzał dzieciaki do sieni domów.

Do tych hałasów dołączały bowiem jeszcze dzieci te osobne swoje pomysły.

Dla osób pracujących umysłowo straszną stanowi klęskę ubijanie kamieni przy kładzeniu bruku. Gdy przekładano bruk z jakiegokolwiek okazyi na rynku — a zdarzało to się dość często — i robotnicy zostawili materiał odchodząc na obiad, na spoczynek lub na niedzielę, wtedy przybiegała zgraja bębnow i rzucać poczyniała jeden kamień na drugi. Siły zaś miała herkulesowe. Przez całe godziny trudniły się bębny tym sportem, póki pod noc nie przybiegły matki i nie zabrały ich do łóżka.

W pewnych odstępach czasu odbywała się parada na rynku. Uświetniano ją odgłosami instrumentu wprawdzie tylko jednego, ale odpowiadającego swemu wybitnemu zadaniu: do wielkiej puszeki blaszanej od śledzi marynowanych przytwierdzano szpagat i ciągnięto ją w pospiesznym marszu po barokowym bruku rynku wśród tryumfalnych wrzasków popolitego ruszenia.

W najbliższym sąsiedztwie mojem zaś usadowił się detaliczny handlarz węgla. Państwo wiecie, co znaczą węgle, które się godzinami sypią z wozów.

Obok w podwórzu była większa kuźnia. Zawsze miałem to wrażenie, że sztaby żelazne spadają na moją głowę, a młotem w nią wbijają gwoździe. Naprzeciw zaś mych okien osiadł szewc mający tę właściwość, że tylko w nocy kuł na kopycie i bardzo rano, a więc wtedy, gdy najlepiej się go słyszy. Ale nie brakło i idyli: wśród tego chaosu wołały u odwiecznej Rozalii Sternal wpośród garnków zapamiętałe i konsekwentnie synogarlice: cukru, cukru, cukru...

Z miejsca zaś, na którem stał przez wieki długi nasz kościół, zrobił magistrat, jako patron, rynek i wybudował na nim kąpiel natryskową dla ludu, a w miejscu presbiteryum ustęp publiczny. Zamiast kadzideł, wydobywających się ongi z poza barwnych witraży kościoła, tłukł się więc dym węglany z niskiego komina kąpielni i wchodził do okien moich, a w cieplejsze noce kłóciły się z nim wyziewy z ustępu.

Te wszystkie odgłosy i wyziewy nie miały w życiu Mojej Pani żadnego znaczenia. Królestwo jej leżało po drugiej stronie domu, gdzie inne oddziaływały wpływy.

B. Nasz dom.

Wśród takiego otoczenia mieszkałem. Dom mój stał niedawno. Na jego miejscu przed kilkunastu laty wznosiły się kurye kapituły. Budowane w XVII. wieku miały ten nastrój na zewnątrz, który zaraz bierze wyobraźnię, wskrzesza ludzi,

jacy tam mieszkali, przedstawia zwyczaje dawne. Każdy dom miał za sobą ogród. I gdybym jeszcze był przybył lat temu kilka, byłbym dostał taki domek. Ale się spóźniłem z urodzeniem, i zburzono tymczasem stare budowle. Na ich miejsce postawiono koszary, celem stworzenia lepszych mieszkań dla beneficjantów i podniesienia ich dochodów przez czynsz dzierżawny lokatorów. Skutek był ten, iż przez lata całe dochodu żadnego nie było, potem nędzne kilkadziesiąt marek, później dopiero nieco więcej; na każdego zaś przypadły tylko trzy kąty nazwane pokoikami. Spekulacja więc była chybiona. Padły bezpowrotnie zaciszne przytułki, uświęcone tradycją pokoleń, pełne poezji i skupienia, stanowiące państwa oddzielne i istniejące tylko dla siebie — a miejsce ich zajął drapacz chmur z załogą tłumną, z którą wnętrzości korabia mogły być iść w zawody.

Rozwiała się, rozproszyła razem z kamieniami starych budowli atmosfera ciszy — w nowym budynku powstał dysonans, jaki sprawiają niezamożni ludzie o drobnych, rodzinnych, odmiennych interesach.

Dom nasz budował pan Frankiewicz; (jak tylu innych i my prowadziliśmy z nim proces i to przez lat 9). Pan Frankiewicz wiedząc, że w domu tym mają mieszkać księża wraz ze swemi owieczkami, dał odpowiednio cienkie ściany i sufity, prawdopodobnie dla tego, iżby lokatorzy wiedzieli co się

u księży dzieje, a księża co u lokatorów. Na samym wstępie więc moim do tego domu spostrzegłem, iż dom ten zatrudnia fortepiany. Akustyka zaś była tak doskonała, iż przez dwa piętra wyraźniej było słyszeć ćwiczenia, wygrywane na tym instrumencie, niż w tym samym pokoju. Wiele razy chciałem biedz i dopomódz melodyi, wiele razy zatykałem z rozpaczą sobie uszy na różne sposoby — na próżno. —

Jakże zazdrościłem wtedy babie jej przytępionego słuchu!

Dzieje Mojej Pani w stosunku do domu rozpoczynają się dopiero z chwilą, kiedy zamiast przyśługujących mi trzech klutek i alkowy dla niej wynająłem w naszym domu za rodzone moje pieniądze większe mieszkanie o 4 pokojach. Obok kuchni wybudował p. Frankiewicz komórkę, której okienko wychodziło na tylne schody. Chociaż chlewik ten wcale nie był gorszy od poprzedniego, baba ani na niego nie spojrzała, łóżko swoje ustawiła w kuchni naprzeciw kotliny demonstrując w ten sposób, iż nie może dla siebie ani dla swych mebli znaleźć odpowiedniejszego miejsca. Rozpoczęła się wojna. Baba przez całe tygodnie z rzędu miała jadowite miny i złe humory, a że ostatecznie potrzebowałem jej usługi i pragnąłem spokoju, więc zważywszy jeszcze, że za sobą miała głosy rozmaitych moich ciotek, uczyniłem wedle jej woli: wypędziła mnie z mego pokoiku sypialnego i wzięła

go w posiadanie. Ja zaś przeprowadziłem się na front i odtąd żyłem wśród zajęć, które miałem zaszczyt Państwu przedstawić powyżej.

Mieszkanie to z pomocą Mojej Pani oddziało na mnie kształcąco w innych jeszcze kierunkach. Nasamprzód zapoznałem się bliżej z filozofią rodzaju ludzkiego. Z czasów gimnazjum nie wyniosłem z nauk przyrodniczych wiele wiadomości. Z botaniki pamiętałem sobie tylko: *lychnis flos cuculi*, *capsella bursa pastoris* i *calta palustris*, z zoologii wiem, że o każdym zwierzęciu żyjącem w Afryce jak hyena, szakal, pantera, można powiedzieć, jak nasz profesor mówił w kwincie jako refrain: »wird auch von den Hottentotten gegessen«, z chemii pamiętałem sobie H_2O , z fizyki przypominają mi się rozmaite przyrządy, które nieboszczyk Wituski związywał szpagatem, bo się rozchodziły ze starości, a nowych nie sprawiano. Ale fizylogii nikt mnie nie uczył.

Tymczasem przez szereg lat turkotała nad moją jadalnią o każdej porze całemi godzinami kołyska, i płakało dziecko. Dziwiłem się, że tak długo kołyszą bębna, aż raz doprowadzony do rozpaczyny usiadłem, aby do »Przewodnika Katolickiego« napisać dla matek chrześcijańskich praktyczną naukę o wychowywaniu dzieci, w szczególności zaś o szkodliwym wpływie kołyszek na rozwój umysłu u niemowląt. Gdy tak siedzę i piszę, przechodzi przez pokój baba. Nie mając się komu uzalić, west-

chnąłem mimowoli, że też tam to dziecko tyle lat kołyszą!

— Co? przecież tam u nich co rok inne leży w tej kołysce.

— Jak to inne?

— No u nich tam przecież »co rok prorok!«

Patrzałem na nią wówczas osłupiałym wzrokiem długo i bez zrozumienia rzeczy jak człowiek, który w młodości swojej nie otrzymał uświadczenia seksualnego.

Skutkiem zabrania mi pokoju sypialnego stało się i to nowe mieszkanie za ciasne. Mówiła mi o tem ciągle baba i wykazywała niedogodności. Z pozwoleniem więc sąsiadek kazałem w ścianie wybić drzwi i dostałem się w ten sposób do ich pokoju. Nazwiska ich nie mogę jednak tym razem wymienić ze względów bezpieczeństwa, mianowicie, aby nie pokazać drogi złodziejom. Już i tak te panie nie umieszczają z tego powodu nazwiska na swoich drzwiach. Pokazało się, że właśnie nad tym pokojem od dawna zaległy się dzieci tego obywatela, co ma to wielkie godło na Starym Rynku. Godło to wszakże tylko wieczorem zwraca na siebie uwagę, dzieci zaś czyniły to rano, wieczór, we dnie, w nocy, Jedno z nich zawsze beczało (nie płakało), ale dosłownie zawsze! Beczało żalonym, przeciągłym, bekiem grymaśnego dzieciaka.

Z biegiem czasu dowiedziałem się, ile tych

dzieci było i jak każdemu na imię, chociaż ich nigdy nie widziałem na oczy.

W pewnych dniach roku dostawały bowiem bębenki, trąbki, piszczałki, harmoniki, konie na biegunach: były to ich imieniny. W takich dniach nie wiedziałem co woleć, czy żeby hałas robiły na tych instrumentach, czy też beczwały, jak poprzednio. Ale one mnie uprzedziły i wdały się w kompromis; jedne beczwały, a drugie grały. Jeżeli nie wychudł od tego, ani nie zapadł na ciężką chorobę, to tylko dlatego, że nazajutrz muzyka około południa cichła. Instrumenta nie miały już dłużej sił do życia, okaleczone leżały na podłodze. Raz po raz słyszałem, jak je deptano, i pękały. Ale i bez instrumentów udawało się tym pociechom moim wywoływać rewolucję pokojową i utrzymywać ją od rana do nocy. Można było suwać krzeselko po całym pokoju, wskakiwać na nie, biegać dookoła stołu, tupać przez godziny całe, a przytem zawsze jeszcze krzyczeć i beczeć.

Prócz dzieci była tam jeszcze jakaś istota, która zawodziła kościelne pieśni wedle osobnego kalendarza: kolędy śpiewała dopiero po Wielkij-nocy, a we wielki post pieśni z Bożego Ciała, gorzkie żale zaś w skwary największe. Myślałem, że się opóźniła ze swoim programem. Dopiero mi baba wytłómaczyła, że ona się ćwiczy już naprzód.

Podemną mieszkała inna rodzina, mająca aż sześcioro dzieci. O niej baba miała bardzo dobre

wyobrażenie. Te dzieci doprowadzały mnie do równowagi. Wyrastały dosłownie bez płaczu, w największej zgodzie, zwykle były wesole, a zawsze swobodne i spokojne. Czasem tylko, póki były mniejsze, nie zgadzały się, gdy śpiewały chórem, ale w Poznaniu, jak wiadomo, zmiana w chórach naszych na lepsze nastąpiła dopiero od czasów działalności ks. Gieburowskiego.

Prócz tego były w domu naszym osoby, które pisywały do mnie anonimy... Kwituję niniejszem z ich odbioru. Podli i głupi są wszędzie. To mi mej wiary w ludzi nie odbierze. Zresztą baba jak mogła listy te przedemną niszczyła — brzydząc się nimi.

C. Wirydarz.

W głębi tego zacnego domu urządzono wirydarz.

Zasadzono konifery ozdobne, trawniki otoczono baryerkami, wyłożono flisami ganki. Całość nie wielka była, ale ożywienie panowało znaczne.

Gankami chodziły pod rękę pensyonarki, za dnia same, wieczorem otoczone dworem gimnazystów.. Często też nie były to pensyonarki ani gimnazyaści, tylko coś w tym rodzaju. Było to bezwzględnie z ich strony, gdyż na flisach pisały sobie dzieci lokatorów klasy i skakały po nich na jednej nodze, doznawały więc w tej rozrywce ze strony spacerujących przeszkód. Inna część dzieci gimnastykowała na baryerkach uprawiając ekwilibrystykę.

Równowaga starczyła zwykle tylko na jeden krok, dalszy ciąg przedstawienia odbywał się na trawniku. Były też niemowlęta, które uczyły się dopiero chodzić z pomocą służących lub opiekunek.

Sądząc z gestów i z min, mogłem osądzić, iż rozmowy i zabawy były bardzo zajmujące — niestety nie mogłem głosów odróżnić, bo wszystkie równocześnie mówiły i krzyczały.

Dla większego urozmaicenia ich pobytu i pauz południowych przybywali rozmaici artyści i przedsiębiorcy w przemyśle i w handlu do tego miejsca publiczno-prywatnej zabawy. Jedni grywali zwykle na harmonikach, katarynkach i gramofonach — inni, nie mając kapitału zakładowego, wykonywali muzykę na palcach lewej ręki, drugą zaś chowali pod surdut i kamizelkę i w takt powiewali próżnym rękawem, udając kaleki. W pauzach albo wśród tej akcji rozlegały się nagle głosy solistów: Fliegenstöcke — łapki na muchy!... Piosku, pani, piosku!... Hasenfelle — skórki od zajęców! Jako orkiestralne uzupełnienie fungowały służące, trzepiące dywany i pierzyny.

Po za Poznaniem tylko dwa razy w życiu odniosłem wrażenie podobnego napięcia dramatycznego i rozkiełznanej instrumentacji — raz podczas studyów w Monachium na premierze Salomy, a drugi raz w Berlinie na premierze Elektry. Gdyby Strauss bywał w naszych stronach, byłbym go zaprosił do

siebie. Czemu nie popierać sztuki! Byłby znalazł niewątpliwie motywy do nowych oper.

Nie potrzebuję dodawać, że nie hołdując we wszystkim nowoczesnym prądom muzyki operowej, umieścić kazaliśmy dekretem kapituły wielką tablicę na domu z odpowiednim obwieszczeniem.

Nic to wszakże nie pomogło.

Moja Pani zaś chętnie wsłuchiwała się w muzykę katarynek, piszczałek i gramofonów. I wiele trzeba było prośb, aby zeszła na dół i zwróciła artystom uwagę na obwieszczenie.

— To i tak nic nie pomoże. Podaremnie tylko zejdem i czas sobie zmudzę.

Dla artystów malujących obrazki rodzajowe, a zwłaszcza karykatury, osobny materyał stanowił śmietnik wybudowany w rogu wirydarza pod moimi oknami. Śmietnik ten miał dwie kłapy do zamykania swych wnętrzości. Do tych otworów zbliżały się co chwila rozmaite baby (pyszne w rysunku i tonie) i poczynaly szukać w śmieciach starożytności. Nagle, gdy się wgłębiły w wnętrza śpichrzów, cofały się w popłochu, a z otworu wyskakiwał kot, który w głębi żerował. Wtedy baba rzucała się na zwierzę grabkami, aby mu zbrzydzić konkurencyę. Koty bowiem były tam zawsze jako fundusz żelazny pozostały po lokatorach.

Pewnego zaś rana zimą, gdy znowu baba jakaś podniosła klapę i para z świeżo wsypanego, gorącego popiołu się uniosła, wyłoniła się głowa,

a potem tułów pewnego pana, który tam spędził był noc poprzednią.

Latem nie przedstawiał się jednak śmietnik z tak sympatycznej strony. Rozpalony aż do wnętrza żarem słońca, wydawał ze siebie wyziewy zabójcze; służące zaś, zamykające otwory po wyspaniu odchodów, w naszym domu zwykle nie mieszkają.

Nie śmiałem zaś zaczepiać honoru baby i wzywać ją, aby schodziła i za każdą służącą zamykała klapy od śmietnika.

Te wszystkie odgłosy i wonie wciskały się do naszego pomieszkania, rozchodziły się po pokojach — ale więcej jeszcze po naszym ogrodzie.

D. Nasz Ogród.

Często mają kłopot rodzice z dziećmi, nie wiedząc, dokąd je oddać, aby były pod dozorem. Proszę się tylko zgłosić do mnie. Znam takie miejsce. To mój ogród. Ilekroć wychodziłem na swój ogród, 20 rodzinom od razu podpadałem pod kontrolę. Badały one, któremi gankami chodzę, czy wchodzę w bruzdy — czy wyrwam zielsko, czy zaraz uda mi się je wyrwać, czy też długo muszę ciągnąć, aż mi się korzeń urwie, czy potem kopię, aby go wydobyć, — czy długo chodzę po ogrodzie, — czy się oglądam, w czyje okna patrzę — czy zrywam kwiaty, jakie, ile, w jakim kolorze, dla kogo też je przeznaczam i tak dalej i dalej. Ale gdy spoj-

rzałem w jakie okno, cofały się wszystkie twarze za firanki.

Oprócz tych stojących w oknie i wychylających się figur, patrzyła zawsze jeszcze na mnie baba. Nie chcąc wszakże uchodzić za ciekawą, zaciągnęła na szyby firanki. Ilekroć jednak zbliżyła gębuchną swoją do okna, widać ją było z dołu. Przypominało mi to tych panów, którzy kazali mi umieszczać w Kuryerze swoje myśli i słowa, a chcieli, aby nikt się ich wpływu nie dopatrzył...

W pośrodku tego ogrodu stało drzewo dobrego i złego (zakrawa to na plagiat, ale niestety nie wszystko na świecie dzieje się tylko raz jeden): dobrego, gdyż owoce były doskonałe, złego, gdyż było ono przyczyną wieloletnich niesnasek. Ponieważ zaś to nie było w raju, więc nie była to jabłoń, lecz grusza. Jako prawdziwe drzewo dobrego i złego rosło ono w pośrodku ogrodu, na granicy pomiędzy moją połacią a połacią Adamskiego, nad gankiem, ale już szczepem w ziemi cudzej. Nie chciałyby nikogo krzywdzić, ale zdaje mi się, że już w pierwszym roku baba nie dowierzając, czy ojciec Adamski da wszystkie gruszki, które zwieszały się na moją stronę, straciła kilka naście przed czasem. Ale on oprócz tego przysłał koszyczek gruszek i wtedy jej wydało się, że to za mało. Następnego roku w nocy strzęsła je już naprzód, zanim w ogóle wyrosły i poukładała w spiżarni.

Oczywiście, że nie dojrzały, ani nawet nie uległy się, lecz zgniły.

Gdy to zobaczyłem, nie śmiałem ani spojrzeć na ojca Adamskiego.

Ale pocziwiec nie dał ani odczuć — choć mi się pewnie za wiele gruszek dostało.

Gdy zgniły, myślałem, że to będzie dla baby wystarczającą nauką na przyszłość.

Ale nie, owszem, następnego roku strzęśła tak samo. I znowu zgniły.

Za nieboszczyka Przybylskiego dzieliła ziemie nasze bruzda, która zarastała zielskiem.

Gdy przyszedł ojciec Adamski, wyciągnął pod sznur ganek i usypał szosę. Baba była wściekła. Utrzymywała, że wkopał się w nasz grunt. Myślałem jednak, że na tym ciężkim zarzucie się skończy. Tymczasem pokazało się, jak słusznie czynili praojcowie nasi, gdy naznaczając granice swych włości, sypali kopce i na tych kopcach kazali odlać chłopcom po kilkadziesiąt, by pamiętali, gdzie granica była.

Nazajutrz przychodzę do ogrodu i widzę zrzuconą połowę szosy — powyrzucane kamienie i cegły. Tłómaczyła się, że ojciec Adamski ponarzucał gruzy na hyacenty moje i tulipany, które tam były zasadzone.

W pierwszych latach rządziła prawie sama w ogrodzie. O tem co zrobiła, niezłomne miała przekonanie, iż było to dzieło niedoścignione. Jak

w domu w podobnych razach tak i w ogrodzie nie-
 nawidziła tego wszystkiego, czego sama nie zasa-
 dziła. Bardzo już jaka roślina musiała przychlebić
 się kwieciami, lub drzewo owocem, aby uznała jego
 zaletę, skoro ja je zasiałem lub zasadziłem. Zato
 wykazywała niestrudzenie przyniooty i cnoty tych
 wszystkich warzyw i kwiatów, które kupiła na
 rynku i posadziła. Piała nad niemi jak kura, gdy
 zniesie jaje i uspokoić się nad tem nie może.
 Prócz tego sadiła i siała sama rzeczy, których
 mieć nie chciałem, lub których, jak cebuli, niena-
 widziłem. Zdarzało się zaś, że zapominała, co
 sadiła, i oświadczała na moje pytanie, że na tym
 zagonku jeszcze nic nie ma. Wtedy ja siałem
 tam swoje kwiaty. Po paru miesiącach zagonek
 taki wyglądał jak kilka modnych damskich kape-
 luszy: spód był z warzywa zielonego koloru, a nad
 nim unosiły się najrozmaitsze kwiaty.

Nieraz zajmowała się także i wyższem ogro-
 dnictwem. Agresty wysokopienne poprzywiązywała
 ostrym szpagatem tak silnie, iż niejednen z nich
 z koroną najwięcej obciążoną owocami, w jednym
 tylko miejscu przywiązany do kołka, złamał się
 i niszczał. Wtedy wzięła kawał worka i drutu
 i pozawięzywała agresty tak mocno, iż oddychać
 nie mogły ani soków zaczerpnąć z ziemi; kora
 poniżej wiązania popękała, a korony uschły.
 Gdyśmy z ojcem Adamskim wzięli się do rato-
 wania i z największym mozołem oswobodziliśmy

je z kleszczy, już były martwe. Zakazałem więc jej mieszać się w nieswoje rzeczy i tylko ogród podlewać. Tego nie chciała. Więc wzbronilem jej wstępu. Wtedy strasznie szydziła sobie wobec gości z ogrodu, że na nim nic nie rośnie, a gdy wieszala bieliznę, zdeptywała mi — ma się rozumieć nieumyślnie — wschodzące rośliny. Gdy zaś czynilem reklamacye, oburzała się na mnie, że krzyczę o byle co.

Ogród cały otoczony był pospolitym murem i płotami z nudnych, szarych desek. Rosły na nim nad zagonkami warzyw drzewa owocowe, które z natury swej prozaicznej wyjąłowiają każdy krajobraz. Do wytchnięcia, do odświeżenia umysłu nie było to miejsce. Przylegał nie tylko do podwórza naszego, ale i do uliczki wąskiej, a brukowanej kociemi łepkami, po której turkotały wozy, i do dziedzińca szkolnego, na który co godzinę wybiegały tysiące dzieci. One swoje złe powietrze zamieniały na dobre, a za nasze dobre dawały zużyte. Nie liczy się hałasu ani lekcyi śpiewu.

Ale jeden miał przymiot ten ogród: Pełen był on głębokich tajemnic, był symbolem objawów życia ludzkości.

Żyły w nim rośliny, sprowadzone z za mórz i lądów dalekich, — te można było pieścić, ulegać im we wszystkim, dogadzać, — nie chciały i nie chciały żyć — a były to właśnie te, co wzbudzały największe upragnienie ujrzenia ich w rozkwicie, wy-

woływały wizye najcudniejszej woni, najrozkoszniejszych barw i kształtów. — Z trwogą stawało się przy nich każdego ranka, badając, czy im chłód nie zaszkodził w nocy, a w południe patrzyło się na nie z obawą z powodu ostrości promieni słońca.

A one w oczach ginęły i nikt nie znał na ich choroby ratunku.

I pozostawiały po sobie tylko żal i tęsknotę — jak ludzie umierający w urokach młodości....

Obok nich były inne banalne, tanie, pospolite. Nie iżby były brzydkie. Miały kształt i kolor powabny — ale mnożyły się nad wszelką przyzwoitą miarę, chciwe były życia, wydawały bez starań mnóstwo kwiatów, a rosły po wszystkich ogrodach, zapełniały wszystkie okna starych panien i szewców. Kiedyś, gdy przybyły do nas, musiały być cenne, ale nie szanowały się, stosowały się do wszystkiego, więc straciły na szacunku u ludzi. Opatrzyły się jak ludzkie twarze o typie, który się spotyka często i który stąd nie mówi nic nowego.

Inne rośliny były jako zło, które się zjawia tam, gdzie go się najmniej spodziewać można, a które się pleni wszelkimi sposobami i życie odbiera właśnie tym, co urodą swoją i rzadkością i ceną wielką są upragnieniem ludzi. Takie zło dziesięć razy niszczone jedynasty raz powraca. Najmniejszy atom wystarcza, by powstało i bujnie się rozrosło.

Raz na wiosnę na powierzchni ziemi znalaz-

złem parę liści nieznaney jakiejś drobnej rośliny. Ledwo ją sobie z poprzedniego roku przypomniałem. A gdziekolwiek ruszyłem pod ziemię, wszędzie zapuściła swe dźierzawy. Całe zagony znajdowały się na trzęsawisku jej białych korzeni, które szkielekami swemi zbudowały podziemne rusztowanie i podminowały wszystko, co tylko żyło w ziemi. Jak zły, podziemny, piekielny podstęp, ukryty i nieprzewidziany i nagle wydobyty na świat, wydała mi się ta zaskoczona w swych zamiarach roślina.

Tam była, gdzie się jej nikt nie spodziewał, wzięła w swe kleszcze uśmiercające to, co człowiek w swem posiadaniu mieć mniemał i co ukochał gorąco, i osądziła mu zniszczenie. I tylko zdało mi się, gdy stanęła przed oczyma mojemu w nagości, że przerwać musiała na chwilę pracę swą piekielną, aby się niebawem, niezmożona niczem, dalej posuwać w swem zniszczeniu. I tak też było.

Tych tajemnic baba wszakże nie dostrzegła. Na przyrodę zapatrywała się jak na powszedni czynnik produkcyi. I słusznie. Niech się filozofią zajmują ci, którzy nie wiedzą, co z czasem robić i mają głowę do tego.



§ 24. Czem była w mojem życiu....

Była ona dla mnie tem, czem dla morza ostry, twardy, skalisty brzeg....

Wie morze, że się oń podrze i poszarpie, że go nie zmoże — czy podpłyńie łagodnie, czy rzuci się nań nagle i przemocą, czy pochlebiać będzie cichą mową fal, czy miotać się i pochłonięciem grozić, — zawsze równy on będzie, zawsze ten sam. Czy rozniebieszczaje się morze pod bezmiarem żaru w słonecznym, wielkim zapomnieniu i szczęściem swem własnem poić się będzie w ciszy, czy stanie się jednym smutnym w mgłach bezkresnych żywiołem, czy zrywać się ku niebiosom i chodzić z piorunami w zawody, czy pogodnie będzie pod wieczór letni, czy ponure jesienną słońcą — gdy zbliży się do lądu, brzeg zawsze równy przyjmie je ten sam. Wie on, że miną i mijać będą morza blaski, mgieł spowicia i huragany, więc się z niem liczyć nie będzie, bo i pocóż liczyć się z żywiołem, który zmienia się ciągle?...

I czuje morze, czem brzeg jest dla niego, i pamięta, że tylko ujęciem biernem na krańcach jego bezmiernych obszarów, i wie, że on niczem wobec całego jego życia i potęgi, a jednak do niego powraca, walczy z nim, z nim przestaje, zostawia go, odbiega i znowu powraca....

A jako morze tak czyni i człowiek. Bo życie niektórych ludzi jest jak morze: coraz to inne, zawsze zmienne, zawsze zależne od tego, czy na nie świeci słońce, czy je słońca ogarnia, czy chłód zmrozi, zawsze gotowe do zachwyków i smutków idzie

za prądem chwili obecnej, pozwala świadomie szarpać swe łono

A jako morze tak i człowiek wraca do swej oprawy życia, choć wie, co go od niej czeka — i chociaż zda się wszystkim, że mógłby nie wrócić. Taka to już zagadka duszy ludzkiej.

Ale czyż człowiek ten, którego życie jest jak morze, zamienić ma je w sobie na inne życie, by mu było lepiej? Czy wtedy poprawi sobie dolę? — Któż szczęśliwszy? czy ten, co ma zachwyty aż do zapamiętania i zapomnienia rzeczywistości, a po uniesieniach w niebiosy opada w bezdenne smutek i apatyę głuchą — czy też ten, którego równomierna linia uczuć zawsze wykazuje spokój i równowagę, który nie doznaje wniebowzięć ani otchłani bólu? . . .

Nigdy większego nie doznałem szczęścia jak wśród niewysłowionych mistycznych uniesień ducha. Czułem i pojmowałem, że szczęście zupełne może tylko polegać na oglądaniu bezustannem i bezgranicznem i bezkresnem istoty, która jest Pięknem, Dobrem i Prawdą bez początku i bez końca i bez granic i bez możliwości ubytku i pomnożenia w swej istocie i w swych przymiotach — a nieszczęście wiekuiste w odebraniu na wieki możliwości tego oglądania i nadziei. I nad te chwile uniesień większego szczęścia nie znam i za nędzarza i kalekę na duszy uważam człowieka, który tego pojąć nie zdolny. I gdyby

ktoś w zamian za pełne porywów i opadów życie spokojne chciał dać równomierne lata, w uznanie tłum bogate, a odebrał mi wrażliwość na to, co boli i co razi, przyjąć bym nie chciał takiego życia. Droższe mi nad wszystko tęsknoty do szczytów odwiecznych, choć wiem, że na nich zawsze mieszkać nie można i że wirchy znajdują się tylko nad przepaściami nęcącymi w otchłań... Szczytem wszystkiego na ziemi nie jest mieć i posiadać, lecz pragnąć i tęsknić i walczyć i zdobywać to, co naszego pragnienia ukaże się przedmiotem.

Kiedyś będzie to rozłączone, ale dzisiaj niepokój duszy jest i bólem i szczęściem zarazem — pragnienie nie jest bez rozkoszy, a posiadanie nie jest wcieleniem szczęścia.

Nigdy najdoskonalej ziszczone nadzieje nie unosiły mego ducha tak wysoko jak walka i trwoga — tych lot był wyższy ponad poziom uzyskania.

Jest jedno jeszcze ostatnie napięcie: chwila, kiedy się coś bierze w posiadanie — a potem właściwie i rzeczywiście wszystko się kończy. Tak jest z odkrywaniem piękna w przyrodzie, z zdobywaniem uznania ludzkiego, z tworzeniem wielkiego dzieła, z wcielaniem piękna....

I już tęsknota za temi chwilami uniesień i już wspomnienie o nich jest szczęściem, a pociechą i radością uczucie, że można tęsknić do tych światów.

Nic to, iż ludzie, których życie całe jest szu-

kaniem i całe tęsknotą i całe przeczuwaniem nieziemskich bytów, muszą być smutni i smętni żyjąc na ziemi, — ich życie od innych niebiosom bliższe, i łatwiej im z tej ziemi cierpień i tęsknot przelecieć przez próg wieczności i tam pozostać wniebowziętymi.

Czy tacy ludzie nie mają uprawnień bytu? czy powinni zmienić swe życie na jeden łańcuch równo ukutych ogniów ze stali?

Wszak na ziemi naszej są kwiaty, które tylko na to żyją, żeby były piękne, i patrząc na nie, nikt nie pomyśli, że one nie przynoszą owocu i nie żywią nikogo. I śpiewu ptaków słuchamy, nie wymagając od nich niczego więcej nad to, żeby śpiewały długo i żeby wróciły z przyszłą wiosną. A ludziom, najpiękniejszym kwiatom i największym śpiewakom tej ziemi nie miałożby toż samo być wolno?...

I oto owa tęsknota wspólna morzu i duszy ludzkiej, tej duszy, która ścieśnień i ograniczeń mieć nie chce, która natury swej zwlec nie może — a gdy je poznaje, to cierpi.

Ale dusza jednolitą nie jest, więc przychodzi zapomnienie o sobie i chęć wydania ze siebie energii, iżby na świecie nie tylko było piękniej, lecz lepiej, lepiej tym, którzy nie mają praw, lepiej wolnym najmitom i niewolnicom białym, lepiej dziecku sierocie i lepiej wszystkim ludziom. Ale gdy rozpoczyna się walka pomiędzy chęcią energii

a chęcią inercji i pogardy dla ludzi i ziemi a życia dla siebie, i wtedy, aby chciało się chcieć, aby zwyciężył pierwiastek czynu nad pierwiastkiem pieśni, nie obojętna jest oprawa życia.

Mianowicie zaś u nas.

Ziemia nasza rodzinna w szacie swej barw i blasków ma niewiele. Są świątynie kolumn sosnowych, uroczystych i potężnych, i są dęby kapłańskie samotne na polanach i mgieł tajemnice srebrne, co w magiczne noce unoszą się nad moczarami łąk, kiedy goplany i rusałki rodzą się we wyobraźni Polan i kwiaty paproci kwitną, i jest melancholia wydm piaszczystych i wierzb przydrożnych, jest siła w kmieciu piastowskim, co wyrasta od wieków wraz z swą siedzibą, chatą i rodziną ze swej ziemi, jest dostojność w dworze starym, jest słodycz w dziecku i urok w młodości, czy ona z chaty wyszła czy z pałacu, i jest w doli naszej zaklęta wielka potęga poezji bohaterskiej i jest w naszej walce i naszym zmaganiu i w naszym wzroście i w naszym dobytku wielka, radosna, święta jutrznia przyszłości złotej...

Ale na codzień pospolicie u nas, duszno, ciasno i bezradośnie. Nad wzlotem duszy ciężą obci i swoi. W statki powietrzne z metalu wierzą, ale w skrzydła ludzkie nie, ani w ich tęsknoty do wzlotów, ani w ich potrzebę kąpieli w świetlanych niebios przestworzach. Więc choć ziemia nasza tem głębszą budzi miłość, im więcej biedna jest

i nieszczęśliwa, a miłość ta chęć rodzi do walki, ludzie nam do czynu własnego samodzielnego odbierają chęć i siłę. Więc każdy z tych, których życie jest jak odpływ i przypływ morza i wchłanianie blasków i mgieł i ciemnic mieć musi kął swój własny, któryby miał atmosferę potrzebną dlań do życia, dokądby nie dochodziły odgłosy pospolitości ludzkiej, hałasy rynków namiętności, szmery zrzeszeń i brzęki kas, lecz zacisznie było jak w oazie, gdzieby od ludzi odchodząc, żyć można ze sobą i nabrać odwagi, by do nich powrócić. Do tęsknot, do pragnień, do chwil słodczy wewnętrznej i do uciszenia siebie i do wchodzenia w głąb swej duszy, do energii życia, do tego by módz tworzyć i coś stworzyć, potrzeba takiej przystani. Do wnętrza ziemi już trudno się dostać, lecz stokroć trudniej do głębi wielkiego świata duszy, który nie jedną wynosi planetę, ale wszechświat cały. Wejście zaś do duszy najłatwiejsze być winno ze swego domu.

A tego nie miałem.

Dom mój nie był przystanią, do którejbym dążył, obiecując sobie spokój i ukojenie, i do którejbym był zawijał jak do portu pewnego. O dom mój nieraz się rozbijał bieg fal mojej duszy, a gdym z ciszą w sobie wracał, traciłem ją. Atmosfera potrzebna do istnienia jest atmosferą pogody, ciszy i ciepła. A »ona« rozbijała mi nastrój, jaki przynosiłem ze sobą, a powstać innemu nie pozwalała,

temu, który w moim domu stworzyć mogłem za pomocą linii i barw, światła i cieni, pamiątek i sztuki. Wypląsała niegościnnie to skupienie, które powstało i roztoczyło się w domu — i to co ze mną przyszło. Bo to były rzeczy jedne martwe a drugie lotne, a ona jedynie żyjąca.

Więc stało się, że w domu własnym byłem tylko gościem. Przychodziłem spać, jeść, przebrać się, gości przyjąć i przebyć poobiedzia świąteczne i godziny wieczorne. A i wtedy bywało mi źle.

Z samodzielnie czujących ludzi mało ktoby nie jęczał nad samowolą niedzielnego popołudnia.

W mieście i na wsi równie ono przykre.

Wieś, pola, lasy i łąki przestają być moim życiem zwykłym, nawet tam, gdzie się ludzi nie spotyka. Gdy przyjedzie się na wieś w niedzielę i zajdzie na polanę nieznaną, a z natury niezwaną przez ludzi i pustą, czuje się osobny nastrój; nie wie się, jak te trawy, drzewa, laski wyglądają w dzień powszedni, ale wie się, że wyglądają inaczej. I już wieś nie jest wsią tą, którą nosimy zwykle w swojej wyobraźni. A we wsi ludzie nie są przy pracy, nie wyszli na pola, lecz patrzą z głębi izb na przechodnia lub ubrani niezwykłe stoją na przyzbach. Chłop z żoną miedzą idzie na ludzkie, a wszyscy psują nam przez to życie wsi, jakie w nas żyje. Więc na wieś w święto jechać niepodobna.

W mieście jeszcze gorzej.

Wczesnem popołudniem zamykają się sklepy, pustoszeją ulice, poczynają ciągnąć w komicznym sosie powagi figury nie mogące swobodnie się poruszać w niewygodnych surdutach i sukniach i trzewikach przyciasnych, z furgonem dzieci i garniturem ciotek, a potem przez ciszę godzin przebiega raz poraz turkot doróżek wywożących kupczyków za miasto. Głuchnie dom i ten, co nieznośny był swoim hałasem i niepokojem, tem dotkliwszy jest teraz swoją głuszą i nudą. Wtenczas dusza się rozstraja, wtedy nie może człowiek zostać sam ze sobą, a wie, że gdzieindziej byłoby mu źle, — nie może wyjść na ulicę, za miasto, ani wybrać się na dalszą wycieczkę, bo wszędzie jest rozpanoszona gawiedź. Nie pomoże na to świadomość, iż konieczną jest rzeczą, aby wszyscy chociaż w niedzielę ze swych domów, składów, magazynów, biur, fabryk wyszli za miasto, skoro nie wychodzą codziennie, — bo co innego uznawać to, wykazywać korzyści ruchu, starać się o wypoczynek niedzielny, a co innego cierpieć, znosić niedzielne popołudnia. W te godziny regularnie przychodzi straszna, tłocząca nuda życia, kiedy człowiek nie może pracować, ani czytać, ani myśleć, ani być sam, ani z drugimi, kiedy wysyłana myśl zewsząd wraca bez zajęcia, bez pozostania przy przedmiocie, kiedy nie ma się chęci chcieć czegośkolwiek, ani pragnąć dobrego, ani nie nawidzieć złego, kiedy ani zmysłowe, ani duchowe

siły nie reagują na nic, i dźwiga się tylko na sobie przygniatający ciężar apatyi życia. Ta zupełność, wszechstronność i wszędzieobecność nudy jest tą rozpaczą. Niema radości ani boleści. Zgrubiła skóra duszy, i tylko czasem jak wbita w ciało śpilka ukłuje wspomnienie doznanej małości ludzkiej — a i to wrażenie rozpływa się w nudzie. I wtedy dom tem przykrzejszym się staje, gdy ma się w domu taki cierpki, posępny, bezwzględny żywioł, który nawet w pamięci drażni...

Ale święta są tylko co kilka dni. Bolesna to rzecz, ale niezwykła. Ważniejsze są wieczory, bo te są codzien.

Do domu wraca się w dwojakiem usposobieniu. Czasami przychodzi się po pracy w podnieceniu przez nowe idee i plany. Wtedy dom staje się miejscem dalszej przędzy. Wtedy przychodzi poezya życia. Ma się przed sobą pełnię światła, ogień pragnień, bezmiar porywów. Nie myśli się, że może to być mirażem i wizją, że jak w kinematografie zniknąć może wszystko, a pozostać próżnia, białe płótno i ciemność. Wtedy sądzi się, że to wszystko, co pierś rozpiera, jest do osiągnięcia w życiu, że stworzy się wszystko, wypowie, uformuje, poprawi, dobiegnie do mety, jak wyczerpany pędem, lecz upojony zwycięstwem Olimpijczyk.

I ten miraż daje nam niebo zachwytów.

Zdaje się, że nic nie za daleko, że do najwyższych szczytów dążyć warto, że wszystko zdo-

być można, że nie nastąpi w naszym locie żaden przedwczesny kres, nie powstrzyma żadna tama, żadna ręka nie uchwyci nas za sięgające ramię, nie wytrąci pióra z ręki, ust nam nie zamknie. Że będziemy wieczni, dobrzy, wielcy, — błogosławieństwem dla ludzi i dla siebie i własnem szczęściem. Że wiek męski będzie pełnią zmagania się, walk, bohaterstw i zwycięstw, starość zaś pogodną, złotą, spokojną a żywą jesienią, po której nie będzie pożegnania lecz przejście. Że upadki nawet dla doświadczeń, któremi służyć będziem drugim i chronić ich od złego, i dla żalu i skruchy przepaścistej uanielą nas i wywyższą.

I w takiej chwili zda się, że dla pragnień, dla marzeń, dla wzlotów i tęsknot, dla myśli, że jesteśmy do szczęścia urodzeni, i wszystko przed nami do zwycięstwa wiedzie wśród radości i uszczęśliwienia, warto żyć. I czujemy zarazem, że to uczucie wywyższa nas ponad pospolitość dnia i tłumu i pozwoli znieść szeregi dni poziomych i ludzi bez duszy i zjadanie chleba powszednie. Ta świadomość, do czego jesteśmy stworzeni i co nam się należy, co nas czeka, co życie czyni wzniosłe i piękne w przeszłości i w przyszłości, — ten obłok wielkości i piękna, który jest przed nami i w który idziemy — on — zda się — doda nam odwagi, gdy z nas, z naszych wierzeń i zachwyków i pragnień i słów i kroków szydzić będą, gdy banalność będzie nas chciała zagłuszyć i strawić, a trzoda ludzka zrów-

nać, skoro głowę podniosiem na nowo. I tem uczuciem wiemy, że prawda jest w nas i po naszej stronie, a nie po stronie przemożnego gminu, i że jej nie potrzebujemy się wstydzić, że to nie jest egzaltacya ni ekscentryczność, że uśmiechy i dyskretne podejrzenia o pozę, to marny wyraz motłochu, który nie ma w sobie żywota ani prawdy, — że to tem w świecie ducha, czem pył i kał w przyrodzie. W takiej chwili czuje się, jak życie coraz czyni człowieka bogatszym, coraz zdolniejszym do posiadania szczęścia. Szukać i znajdować stosunek pomiędzy religią, filozofią, sztuką i przyrodą i naturą ludzką i wpływem rozwijającego się ducha wzajemnym, rozumieć dziedziczność i przyczynowość, patrzeć na pochod ludzkości ku górze i szukać dróg duchów, które się zajmowały zagadkami odwiecznymi a gasząc życie swoje ludzkości dawały prawdę i światło — co za rozkosz i co za upojenie!

A przed nami znów nowe światy, nieznanne ludziom dawniej żyjącym, bo oni nie mieli tyle wieków myśli ludzkiej przed sobą, co my. My wszystko mamy, co oni mieli, co starożytność, co średniowiecze, co renesans, co romantyczna epoka, to wszystko i nadto to, co my z mocy ich widzimy i ze swego jestestwa, jakie jeszcze nie było nigdy.

Tłum gada o dobrych czasach, co były niegdys i zginęły bezpowrotnie, bo tłum nie myśli: — lu-

dzkość nigdy tak daleko jeszcze nie była jak za naszych czasów, i tylko ta co przyjdzie, przewyższy ją w prawdzie, pięknie, dobru i szczęściu.

I w tem nasza radość, że nie potrzebujemy myśleć wyłącznie myślą cechu, szkoły, społeczeństwa, narodu, minionej czy obecnej ludzkości, tylko swoim umysłem, że szukamy samopas piękna, prawdy i dobra i odkrywamy nieznanne światy zachwytów, że utartej nie przyjmujemy waluty, lecz badamy, co ta ziemia, ta woda, te piaski, to drzewo, ten obraz, te domy mówią. Twarzy ludzkich się pytamy, czego one objawieniem. Podlegli jesteśmy czasowi, i słowa i czyny nasze nosić będą piętno epoki, ale duch nasz unosi się ponad wiekami mocą swej lotności w górę, mocą tego co jest w człowieku z ducha Stwórcy, mocą nieskończonych łask, prawd i pragnień. I wiemy, że nie jesteśmy tylko podłożem i nawozem do dalszego rozwoju ludzkości, ale że wartość nasza jest bezwzględna w stósunku do prawdy, że to, co odkrywamy i powiemy, pozostanie w cenie, choć to są prawdy od wieków przez Boga znane, i choć je może człowiek wypowiedział inny przed nami i po nas znów wypowie inaczej lub lepiej drugi. I zdaje nam się, że prace nasze przyczynkiem będą do szczęścia ojczyzny, że to co się przesunie przez głowę i tam przetrawi, na naszą ziemię spadnie jako siejba dobra. I przychodzą coraz świetniejsze obrazy, gorzej serce, pała głowa. Niepotrzeba być z nikim, niczego się

nie pożąda, bo jest pełnia w nas. Tylko nikogo nie widzieć, tylko drzwi zamknąć od świata i ludzi, zostać pochodnią, której nikt nie rusza, żaden powiew płomienia nie kłóci!...

Ale takie chwile bywają rzadkie, są one wyjątkiem nie regułą.

Przychodzą inne wieczory i inne godziny myśli.

Czasami wraca się do domu tak zmęczonym, że do wypoczynku jest się za słabym.

Wtedy dom wszystkim być powinien, a on jest pusty i niespokojny, wypędza, wypluwa wręcz ze siebie na ulicę. Zostać nie można, to jedno jest pewnem. Wtedy przesuwa się miasto przed oczyma.

Teatr! Nic. Ilekroć w ostatnich latach poszedłem, to mimo największej pobłażliwości zwykle uważałem, że poniosłem stratę. Miałem w sobie rzecz cenioną, widzianą lub czytaną, a przekonałem się, że ona może też być licha i bolesna, gdy gra, śpiew i orkiestra są nędzne. A że od Poznania wiele wymagać niewolno, to krzywdy mi nie wynagrodzi.

Koncerty.... Tak, te dają najwięcej w Poznaniu. Ludziom, którzy je urządzali, nie zapomnę tego wsparcia mego życia — ale i tu pokrzepienie nie bywa zupełne. Bo nie zawsze chce się słyszeć to, co właśnie dają, a potem odbywanie występów muzycznych rzędami krzeseł, patrzenie na nudnych i sztywnych filistrów niemieckich i nieznających się najczęściej na rzeczy, a zawsze rozmawiających rodaków — to odpędza z sali koncertowej.

Lokale publiczne... o takich ostatecznościach nie mówmy! Nie często ma się usposobienie do przebywania w gościńcu lub siedzenia wśród pustych stołów przygodnej restauracyi hotelowej. Zresztą wolno tylko przestępować te progi księżom zamiejscowym.

Więc przechadzka. Nie tak ona łatwa. Poznań miejsc do przechadzek dla nas nie posiada, bo dawki homeopatyczne parków leżą obok budynków, od których widoku kraje nam się serce. Do dalszych dostęp trudny. Najpierw ta droga niemiła przez uliczki wąskie, brudne, cuchnące, i pokazywanie się wśród ludzi. Trudno nie wiedzieć, że wogóle ksiądz niepożądane robi wrażenie wśród publiczności. Ksiądz mile tylko dotyka jednolite wyznaniowo a kościelnie usposobione społeczeństwo, zwłaszcza chłopów i małomieszczan w tych parafiach, gdzie duchowieństwo ze zrozumieniem potrzeb ludu i poświęceniem pracuje równie nad jego religijnością jak nad oświatą i dobrobytem. Trudno mi nie wiedzieć, że na ogół w świecie dzisiejszym duchowny to synonim wstecznictwa duchowego, ciasnoty umysłowej, czynnik pragnący ujarzmania rozumu ludzkiego za pomocą kajdan średniowiecznego a skostniałego dogmatyzmu, to reprezentat nieszczeroci, zatajający własne pojęcia i słabości, działający wbrew swoim przekonaniom. Na jednostki zaś zachowujące kontakt ze swoją religią działa jak wyrzut sumienia lub krę-

puje swobodę. Dawniej jak i dzisiaj usposobienie świata jest antyklerykalne, przeciwne znaczeniu i działalności wybitnej, a przez to wpływom księży. Jeśli dzisiaj jest lepiej, jeśli nie słyszy się dawniejszego omne malum a clero, to dosyć jest niechęci i uprzedzenia. Ci zaś, którzy są życzliwi, a więc zwłaszcza tłum wierny, przeszkadza. Nowoczesny człowiek chciałby być niepostrzeżony, nienagabywany na ulicy, wiek nasz unika wszelkiego podpadania ubiorem, bo pragnie wolności i swobody w ruchu. A tymczasem ksiądz strojem swoim nieustannie zwraca uwagę. Na widok jego robią spostrzeżenia, porównywania, przypominają sobie z dawnej lub ostatniej przeszłości rozmaite pogłoski o innych księżach, przypatrują się, czy utył, czy schudł, jakie ma odzienie i obuwie, czy spogląda skromnie na ulicy itd. A przytem spotykają go dotkliwe przeszkody. Dzieci przybiegają doń, chwytają go za rękę, przytrzymują, wyszukują miejsce do pocałunku; jeśli ma rękawiczki, to mu je splamią, jeśli ma gołą rękę, to mu ją powalają. Bo dzieciak uliczny ma albo nos nieutarty, albo krosty otwarte na ustach, albo jadł cukierki lub chleb z tłuszczem albo owoc. Skoro zaś ofiara ulicy widzi, że na nią szarańcza wypada ze sieni lub z za węgła domu, to nic nie pomoże, że przyspieszy kroku. Dogonią ją na pewno te pociechy i przytrzymają, aż ostatnie ją obcałuje — czyniąc zadość nakazowi matki, uczuciom petyzmu lub sportowi. Pobożniejsze dusze

dorośle urządzają krótkie nabożeństwo, gdy księdza zobaczą na ulicy: przygotowują się, odkrzążną, często nos wytrą, lub wyplują jeszcze szybko ślinę, potem głowę pochylą, albo kapelusz zdejmą i ostentacyjnie i z nabożeństwem czynią inwokację. Podczas zaś, gdy obywatelstwo w mieście robi te przygotowania i czapkę zdejmuje zawczasu, chłop przybyły ze wsi nie może tak szybko na krok ten się zdecydować. Najprzód zaskoczony jest widokiem księdza, którego nie spodziewał się zobaczyć, więc baczy, czy to rzeczywiście ksiądz. Potem przygląda się, czy to nie jaki znajomy i jak też wypatruje, wreszcie nie wie, czy się uklonić, czy nie, więc kłania się w chwili, gdy go minął, sądząc, że księdzu tak samo jak i figurze świętego obojętnie jest, czy kapelusz się zdejmie przed nią, czy za nią. Na tę zaś decyzję naszego chłopca nie raz trzeba czekać długo.

Z tych objawów pietyzmu trzeba się cieszyć i pielęgnować je i trzeba je znosić z ascetycznych pobudek. Ale niemniej przeto cierpi się za każdym razem.

Pozostają więc wizyty prywatne. Były rozmaite okazy. Mogłem odwiedzić znajomych, którzy przyjmowali mnie zawsze gościnnie, chociaż wiedzieli o mnie więcej, niż wszystko, żadnej mej słabości nie zdołali przebaczyć, a już darować mi nie mogli, gdy mi się coś udało. Ale nie zwykłem sobie robić przykrości, gdy nie potrzeba. A po-

trzeba taka nie zachodziła często. Poznałem bowiem przez te lat 10 wielu ludzi dobrych i życzliwych, którzy dla mnie coś stanowili, jak ja pewnie dla nich, z którymi mogłem mówić po ludzku, do których przychodziłem w chwilach przygnębienia czy radości jak do przytułku dla duszy. Miałem przyjaciół, którzy mnie zawsze bronili, którzy widzieli we mnie to, co miałem i tego mi nie zazdrościli, cieszyli się z moich radości i ich pragnęli i wpadali w najlepszy humor, gdy o mnie dobrze mówiono. Był zwłaszcza jeden, który jak w lesie dębów przerastał inne drzewa, silny strasznie był i mędrszym od drugich i żył pracując dla idei jak i dla jednostek, który był jako Mojżesz i jako Piast pierwszy i jako ten wielki ostatni, a który był równocześnie człowiekiem o miękkim, ciepłym, zawsze wrażliwym sercu. O tego się owijałem i po nim się piałem, jak bluszcz się pnąc po dębie ku górze, gdy mnie dusiły gąszcze i gdy mi potrzeba było wiedzieć, że w górze jest światło i wolność. Ale każdy ma swoją naturę i swoje wnętrze i swój świat i żyć zupełnie życiem drugiego nie może.

A potem jak się było u jednego wczoraj, u drugich przedwczoraj, u trzecich przed dwoma dniami, u czwartych przed trzema, to iść znów niepodobna, a co dzień jest wieczór. Gdy zaś przesuwałem sobie przed oczyma wnętrza innych domów wiedziałem naprzód, gdzie o czym mówić będą.

Gdy byłem młodszy wierzyłem w wynalazki i odkrycia w ludziach, niejedno mnie też pewnie u nich zajęło więcej wówczas niż dzisiaj, bo ja sam więcej sobą byłem zajęty i bawiłem się sobą. Z wiekiem, jak wiadomo, odczuwa się potrzebę tem większą towarzystwa ludzi pełnych ducha, dowcipu, trafności spostrzeżeń, oryginalnych wyrażań, a przedewszystkiem kultury i ludzi umiających i chcących nie razić. Za te chęci nowych wrażeń srodze nieraz cierpiałem na rautach, kolacyach, herbatkach czy pogadankach. Jako urodzony optymista wmawiałem w siebie, że tylko pozornie ten przedstawia się jak safandula, a tamta jak pularda, i nakrawałem kwestyę. Wybierałem rzeczy uznane, wcale nie ekscentryczne, zwykłe. Dawałem im jako przedmiot siebie, aby moje pojęcia z łatwością przymierzały jako termometr do swoich zapatrywań i odczytywały tylko daty. Każdy człowiek albo gdzieś już był, albo też jeszcze gdzieś pojedzie. Powiadałem więc, że mając wyjechać na zwykłe swoje doroczne wakacje, miesiące naprzód się kształcę, abym miał jak największą przyjemność i korzyść ze zwiedzania. Wspominałem, że potem wiem nietylko, jakie budowle zwiedzać będę w tem a tem mieście, ale jakiego malarza obraz znajdę w tym a tym pałacu, kościele czy galerji. Nie raz czułem po tych słowach, że muszę zaraz przestać, pularda spojrziała bowiem na mnie i pomyślała sobie: nie sądziłam

jednak, żeś ty taki przesadny, — a druga, guła, myślała: jaki on blagier! Kiedy indziej jako człowiek grzeczny (z inklinacyi, z przyzwyczajenia, z własnej potrzeby i dla swej przyjemności), chciałem bawić zwłaszcza takie osoby, które bywają zaniedbywane przez ogół i opowiadałem o przedmiotach aktualnych, wypadkach lub ludziach nazywając rzeczy tak, jak je widziałem. Wtedy nie mówiono, że to trafnie było powiedziane lub nietrafnie, tylko że to złośliwie.

Po pewnym czasie przyłągnął ten przymiotnik do pamięci o mnie u pewnej kategorii ludzi. Ponieważ zaś jestem z natury do obcych ludzi nieśmiały, a przytem oswojony z słabościami ludzkiemi, tak iż im nie daję odczuć doznanych wrażeń, a pozatem większa część wcale mnie nie zajmuje, tak iż mi się ani do nich mówić nie chce po ludzku, więc wielu miało zawód lub zupełnie z innej mnie poznało strony.

Poza tem jest szereg ludzi prawdziwych w Poznaniu, więc znalazłoby się więcej godzin miłych, ale oni musieliby urządzić secesyę i pogniewać się z krewnymi i przyjaciółmi i potargać konwenanse. Nieraz towarzystwo byłoby bardzo zajmujące, powstałaby biesiada duchowa, byłoby dużo dowcipu trzaskającego i wesołości złotej, ale cóż! chcąc prosić męża, trzeba zaprosić żonę, chcąc mieć ojca, trzeba zaprosić i syna, obok tych nie podobna opuścić tamtych.

Ogół zaś nie wytwarzał sympatycznej atmosfery towarzyskiej. Są miasta, w których pierwszej roli nie grają urzędnicy i oficerowie, ani też przemysłowcy i bankierzy, lub tak zwana inteligencja zawodowa, tylko ludzie, którzy na jakimkolwiek polu duchowem się czemś odznaczają, obojętnie czy to są ludzie nauki ścisłej czy artyści. Dokoła nich wszystko się obraca; książę panujący czy fabrykant, skoro mają pretensję do kultury, muszą się do nich stósować, ich odwiedzać, zapraszać do siebie; oni nadają ton. W zupełnem przeciwieństwie do takiego ogniska jest Poznań. Tu znaczy ten, kto ma stanowisko i pieniądze i, jeśli ma jedno i drugie, albo przynajmniej jedno z dwojga, pochodzi ze starej, znanej u nas rodziny. Najwięcej jest takich, co spadli z drabiny społecznej i skaczą znów na szczyble, i takich co byli zawsze nisko, a dziś zarabiają tyle, że się drudzy temu i oni dziwią sami. Ogółem zaś warstwa zawodowej inteligencji liczy w swem łonie wyrobników, którzy męczą się przez cały dzień z pacjentami, klientami i biurami i wieczorem dopiero mają czas dla siebie. Do nich to, gdy mi się inne próby nie udały na zebraniach towarzyskich, szedłem słuchać jak mówią o polityce lub organizacjach naszych ekonomicznych lub społecznych. Od rozmów bowiem na te tematy stroniłem w chwilach wypoczynku. Sprawy społeczne stanowiły mój chleb powszedni, a w święto chce się niezwykłych potraw.

Przez to nie chcę powiedzieć, iżbym służby społeczeństwa nie pojmował na seryo. Nie, ona mi była i jest drogą i świętą. Bom ja dożył do jej potrzeby. Gdy byłem dzieckiem, to kochać Boga i ojczyznę — było najświętszem hasłem, ale hasłem, które obejmowało wszystko, a więc za wiele — w gimnazyum zajmowała mnie najwięcej literatura, na uniwersytecie historia Kościoła, w seminaryum o pracy społecznej nikt nie wspomniał — po wyświęceniu pragnąłem za resztę ojcowizny iść znów na uniwersytet nie na co innego, lecz na historję sztuki. Odmówiono mi tego, ponieważ sobie zbyteczny przedmiot obrałem (mam to zapisane w pamiętniku prowadzonym przez cały ciąg seminaryum). — Konieczności pracy społecznej nauczyło mnie życie.

Pierwsze trzy lata kapłaństwa spędziłem z rozporządzenia władzy na wsi.

Tam zrozumiałem, dlaczego nasz lud idzie na obczyznę, dlaczego go mogą z ziemi ojczystej wyrzucić, i dlaczego ziemia przestaje być naszą na wieki. I tam wśród bólu, który mi ścisnął serce, i łez, co spływały gorące do duszy, poznałem, co trzeba czynić, aby zachować naród i jego ziemię i jego przyszłość dla ojczyzny i Kościoła.

Chrztem swej niedoli i żałości chrzciliły mnie gromady ludu idącego na poniewierkę i zatracenie — i krzywda szukających daremnie pomocy i sprawiedliwości włościan, rzemieślników i robotników nasych — i niezdolność ich do współzawodnictwa

z zachłannym żywiołem — i pola i siedziby nasze zabierane przez wrogów — i pasowały na rycerza do obrony, do odzyskiwania tego, co stracone, i do zdobyczy, co nam należne. A przedemną szedł poczet tych kapłanów, którzy żyli jedynie dla szerzenia królestwa Bożego na ziemi, tych, którzy jaśnili szerokością poglądów, pobożnością i cnotą wszelaką — ale wzięli się do gospodarstwa społecznego, bo wiedzieli, że bez tej pracy nie będzie Kościoła, bo wogóle nie będzie nas.

A ich pracę i słowa popierała nauka, mądrość życia i Objawienie.

Więc wiedziałem i wiem, że idą dobrze.

I tego ognia idei i pracy i tego ukochania i tej nienawiści do tych, co na tę pracę naszą rzucają kamieniem małoduszności i szyderstwa, nie tracę nigdy.

Ale co innego czegoś pragnąć i w tym kierunku działać, a co innego świata przed tem nie widzieć. Rzecz najlepsza nie jest jedyna, lecz obok niej też są rzeczy dobre i uprawnione do bytu i wymagające opieki i oddania im się. Jest życie wewnętrzne, filozofia, literatura, sztuka, przyroda.

A takich ludzi kulturalnych, zwłaszcza w sferach nowszej inteligencji poznańskiej było mało; przeciwnie często taki pan, gdy uzna coś za dobre, urządza to i żąda od obcych ludzi, aby coś uczyli bez względu na to, czy to uważają za słuszne

i pożyteczne »w imię dobrej sprawy«. Tamten znów opowiada bez względu na to, czy to komuś miło i czy to chce słyszeć, najnowsze swe pomysły gospodarcze, tłumaczy je i propagandę czyni w restauracji lub kąpieli mężczyznom zmęczonym po całodziennej pracy albo na raucie kobietom pragnącym raczej konwersacyi beletrystycznej. Tacy są świeży i bezwzględni, jak drudzy nigdy w młodości swej najpierwszej nie byli, tacy być muszą, gdzie chodzi o radykalne przeprowadzenie idei nowych; i tak jest dobrze, choć niezbyt przyjemnie. Ich synowie już takimi nie będą. Już nie będą oni mieli tego zasobu energii niezużytej, już będą ich zajmowały i absorbowały inne strony życia, już będą więcej złożeni, wyrafinowani, subtelni. Już ich ogarniać będą wątpliwości, czy dobrze, czy warto, czy wypada, czy można. Ale ich ojcowie tą jednostronnością, tym przymusem do rozmowy o rzeczach publicznych sprawiają, że nie chce się mówić o nich poza koniecznością. Widząc ciągle ludzi poważnych i siebie poważających i wymagających od drugich poważania, ma się tem większą do humoru, swobody i lekkomyślności ochotę. Słuchając bezustannie o sprawach ogółu, nabiera się skłonności do indywidualizmu, upiera się przy prawach jednostki, nabywa uczucia antyspołecznego. A gdy oprócz tych nielicznych, którzy się znają na rzeczach swoich, jeszcze gadać poczną osoby o kwestyi społecznej, dlatego, że to jest na czasie, ma się chęć powiedzieć:

Przepraszam, ta rzecz jest za poważna, aby o niej tutaj mówić na seryo.

Więc gdy towarzystwo tak na ogół wygląda, chce się mieć tem więcej w domu swój własny, oryginalny nastrój. Chce się mieć w domu schronisko, ale przedewszystkiem ciepło, zacisze, swobodę i swój świat.

Gdym wracał z podróży dalekich, z gór i mórz i miast obcych i krajów, stawała mi na myśli rodzinna ziemia, miasto i dom, i przychodziły na pamięć moje puste kąty i baba zamroczona, a obrazom tym towarzyszyło turkotanie kół i składało się do rytmu: — i nikt w domu nie czeka... — i nikt w domu nie czeka... I na rozmaite głosy, melodye i odcienia powtarzał się ten refrain w duszy: — i nikt w domu nie czeka... Lecz wtedy było mi lepiej, bom wiózł ze sobą nowy zapas życia. Ale gdym pozostawał wieczorami w domu lub wracał z towarzystwa, wtedy bywało mi gorzej. Wtedy czułem silniej niż kiedyindziej, że nademną panuje ten żywioł, którego widzieć nie chcę, a którego istnieniem, ciężarem, dokuczliwością jestem przygniecony.

Stawała mi przed oczyma ta ostra, surowa, cierpka postać, przeciwna ułatwieniu mi życia, oczekująca z kwaśnem zniechęceniem moich życzeń — stawała świadomość, że zastanę znów napewno jedno przeciw mej woli umyślnie zrobione a drugie zaniechane, — zamiast harmonii dysonans...

Lecz gdy wreszcie ochłonałem z uczucia udre-
czenia, przychodziło mi na myśl, że ona też ma swój
świat i swoje ognisko myśli i środowisko, dokoła
którego krążą jej pragnienia, i stawał mi przed
oczyma świat jej wewnętrzny, jaki poznałem. I wtedy
rozpamiętywałem nieraz, jakie ona ma gwiazdy na
swojem niebie i jakie cele swych dróg i jaki ustrój,
– czy myśli o tem, że Bóg jej tak mały wytknął
zakres działania, czy nie żał jej żyć w tych stosun-
kach szczupłych, nie żał tylko tyle wiedzieć, tylko
tyle móżdż, znaczyć i dokonać... I myślałem, jaka
ona jest samotna, jak nie odłączyły się od jej istoty
przedmioty umiłowania, jak płonne było jej życie
i drugim oddane za nierówną cenę, jak nie spo-
częło jej uczucie na niczem, coby było z jej istoty
i życia warte...

I wysuwało mi się w pamięci osierocenie
dorosłego człowieka, które jest daleko większe niż
sieroctwo dziecka, a potem jej strony duszy dobre
i ludzkie. I wtedy wiedziałem, że nad jej działa-
niem przyjdzie zabliznienie i przez przetak czasu
przejdzie plewa jej życia, a w wspomnieniu zosta-
nie jędrne, uczciwe ziarno.

Inaczej być nie może i nie mogło i nie po-
winno.

Co innego jest fakt sam istoty, a co innego
wina. Muszą być światy odmienne. (Lepiejby pe-
wnie było, gdyby ten, który chce mieć życie dla
siebie, nie podlegał zewnętrznym wpływom, ale

można to powiedzieć, a wrażliwości pozbyć się ani rzeczy zmienić nie można. Nasyp sobie pieprzu mielonego do ust, trzymaj go tam i poruszaj językiem, a staraj się, aby nie był gorzki!)

Niech więc będzie pożegnanie jak na dobranoc bywa wśród ludzi, których złączyła dola wspólna, a nie na wieczną rozłąkę. I niech ono mówi swym nastrojem i symbolem, takim, jakim były jej własne chwile wieczorne...

Jest wieczór. Miasto głuźnie, czasem przez pustą ulicę tylko przebiegnie doróżka, zastuka krok samotnego przechodnia, raz po raz o szczyty kamienic najwyższe odbije się echo huczących pod miastem pociągów. Dom kładzie się na spoczynek. I ona nań się gotuje, samotna zupełnie: nie ma otoczenia, żadnej duszy blizkiej, żadnego uścisku na dobranoc, jaki bywa szczęściem codziennem tyłu serc kobiecych. Otwiera okno, wychyla się, patrzy na inne okna domu, przez chwilę wzrok jej zatrzymuje się na jasnym jeszcze kilku i ożywionych szybach. Pod nią głębia dziedzińca, nad nią sterzące w górze mury jak nad dnem studni, z boku majaczeją jeszcze zarysy drzew, a nad wszystkim w górze niebo, gwiazdy lub chmury. Coraz więcej cichną odgłosy ludzkich mieszkań, ulicy, miasta, domu. I przychodzi cisza.

W taki wieczór wychylona w oknie siedzi i patrzy w ciemnię. Co myśli, czego pragnie, za czem wzdycha?

Martwą być się wydaje, ale jest w tym objawie życie, jest nastrój, jest głębia i powaga, skupienie święte i uroczyste. Samodzielny, osobisty odruch człowieka, co obcuje ze sobą, z objawami ludzkości, z przyrodą i z Bogiem. On godzi wszystko z tem, co było w życiu i w dniu ostatnim. — Jest w tym małym świecie odbicie wielkiego ducha ludzkości i myśli Bożej. Jest. —

Zamyka okno, zasuwa zasłony, idzie do swej sypialni, klęka do modlitwy i, ziewając w odstępach, modli się długo. Po czasie otwierają się drzwi do jadalni, wysuwa się ręka, stawia na stolik przy drzwiach lampkę nocną i cofa. — Niezadługo ostatni objaw jej życia milknie.

Przychodzi sen.

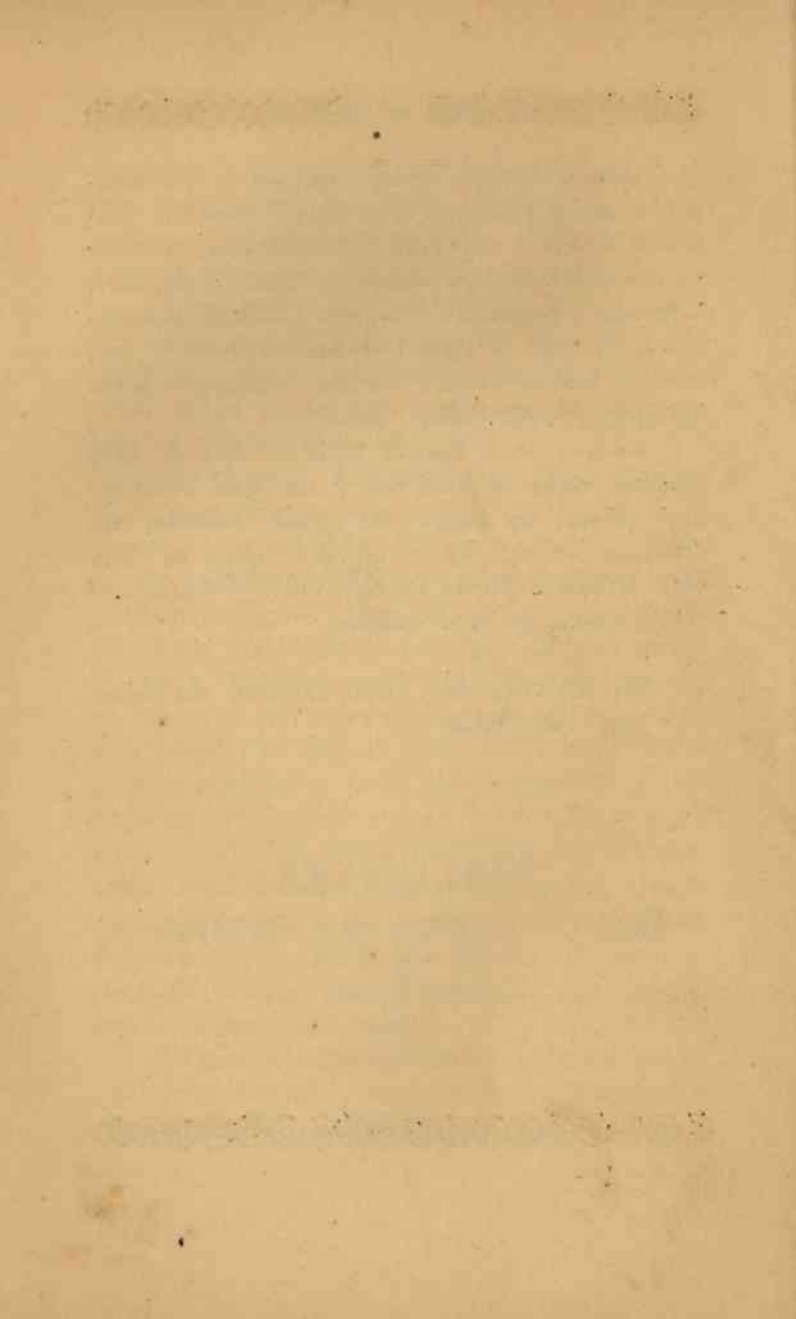
Wszystko bez słów, cicho, samotnie, dla siebie.
Jutro znów dzień.

BIBLIOTEKA

URZEDN: TOW: WZAJ: UB: w KRAKOWIE

SEKCJA IV





Przedmowa,

która zostaje przedmową, choć umieszczona
na końcu.

Na wybór niniejszego przedmiotu złożyło się kilka przyczyn.

Aby studyum było wszechstronne i wyczerpane, trzeba mieć jak najwięcej sposobności do obserwowania modelu. Do tego nadają się najwięcej przedmioty i osoby z codziennego otoczenia. Wszystko to, co się u nich widzi i co się od nich słyszy, oraz refleksye, które przytem na myśl przychodzą, można natychmiast uchwycić i zapisać. W ten sposób powstaje najcenniejszy materyał, najdoskonalszy historyczny dokument.

Takiej metodzie zawdzięcza powstanie książka, którą puszczam w świat.

Od lat miałem na stole w jadalnym pokoju i w pracowni zeszyty i w nich notowałem każde świeżo posłyszane słowo i każde uwagi godne spostrzeżenia. (Stąd zachodzące w mojem studyum słowa, rozmowy i twierdzenia są najzupełniej autentyczne.)

Takiego drugiego przedmiotu do studyum nie byłbym znalazł. Przedmiot sam wydawał mi się nie tylko dla mnie osobiście zajmujący, ale i nie obojętny dla ogółu. W literaturze uwzględnia się przecież obecnie wszystkie nieomal stany i typy społeczne. W ostatnich czasach schodzą pisarze do zaułków, suteren, nor i jaskiń ludzkich, aby tam z mętów i z dna życia brać motywy i modele. I ileż włóczęgi, nożownicy, prostytutki przedstawiają ciekawych problematów i zagadek psychologicznych! Czyż Moja Pani, dla tego że nie zabija i nie włóczy się po nocach, ale jest wcieleniem wszelkich cnót, ma być mniej zajmującym przedmiotem badań? Byłoby to zaiste niesprawiedliwie!

A może też tego rodzaju malowidła à la Teniers, Ostade lub Chodowiecki reprezentują pewną wartość praktyczną?

Dla wielu, którzy chcą pracować dla ludu, może dobrze jest zobaczyć bez osłonek typ ludowy, którego poznać nie chcą.

Wieki całe są dla nas stracone dla tego tylko, że olbrzymiej większości ludzi nie miano za rzecz uwagi godną, ponieważ musieli żyć, pracować i umierać dla nielicznej warstwy wierzchniej.

Stan duszy ludzi, którzy budowali piramidy, uginali się pod ciężarem pracy w ergastulach, jęczeli na galerach, upadali pod razami poddaństwa, możemy sobie tylko odtworzyć niedokładnie na:

mocy wyobraźni i analogicznych wniosków. Nikt nie badał swego niewolnika ani swej poddanki, aby zajmować się ich psychologią i zostawić po niej światu świadectwo.

Dzisiaj postępujące naprzód uznanie praw człowieka doprowadziło do tego, że coraz więcej publikuje się dokumentów duszy ludu. Uczeni pisarze nie tylko na miesiące całe udają się do fabryk i kopalń, aby poznać warunki pracy, stan moralny i usposobienie społeczne robotników, ale wręcz studyują cały świat myśli, uczuć i pojęć jednostek wśród warstw pracujących i wyniki swe w postaci dzieł obwieszczają światu, a świat je bierze jak każde inne zajmujące a ważne objawienie.

Ze wszech stron woła się o ludoznawstwo. Jedni chcą wiedzieć, o ile nasz lud jest religijny, drudzy jak dalece jest patryotyczny, inni w jakim stopniu uświadomiony socjalnie, wielu zajmują stroje i obyczaje ludu, wszyscy zaś pragną wiedzieć, o czym ten lud myśli, czego pragnie, jak sobie świat wystawia, jak ze sobą żyje....

Stąd te usilne starania, aby poznać duszę jego taką, jaką jest, bez osłonek. Stąd radość, ilekroć robotnicy sami we ormie wyznań, wspomnień, opisów swego życia pozwolą wejrzeć w swe myśli i uczucia, w swe dążności, pragnienia i tęsknoty. Stąd to przychylnie przyjęcie, jakie znajduje każda analiza duszy robotnika, żony jego i dzieci. Stąd

i w naszym społeczeństwie to zaciekawienie, z jakim się spotyka każde na rzetelnej znajomości stosunków i psychologii oparte przedstawienie naszego chłopca. Do całokształtu każdego wielkiego obrazu potrzeba mnóstwa szczegółów, mnóstwa osobnych studyów postaci, które się na całość składają, a cóż dopiero przy tak różnorodnej kompozycji, jaką jest społeczność całego ludu!

Wśród warstwy pracobiorców ma osobną swoją pozycję księża gospodyni. Jest to typ, który przechodził wszystkie fazy w stosunkach zależności prawnej ludzi od siebie, ale unosi się po nad wiekami pewną swoją odrębnością sytuacji.

W stosunkach współżycia ludzi ze sobą była to zawsze i będzie bardzo ciekawa odmiana. Na niej będzie można obserwować dążność kobiety nie tyle do równouprawnienia co do panowania, do zagarnięcia władzy, ale i do opiekowania się drugim człowiekiem, do znalezienia przedmiotu przywiązania...

Dlatego się zająłem tem studyum.

A potem jeszcze jeden wzgląd rozstrzygał o wyborze tego właśnie przedmiotu.

Nieraz przybywszy do miasta, którego nie widzieliśmy jeszcze nigdy, ale o którym marzyliśmy dawno i na którego poznanie przysposobiliśmy się dobrze, idziemy w nie, nie radząc się Baedekera ani nie pytając o nic przechodniów. Najwyraźniej bowiem w ten sposób do nas przemówi charakter

ja za silnicie le sie w ten s osob s c ci

pędzłem zakątkowe życie jednostek. Cóż dalibyśmy za to, gdybyśmy przewracać w rękach swoich mogli pamiętniki pisane przez ludzi z 16. i 17. w. i dowiadywali się, co na myśli im stało z dnia na dzień, jak sobie urządzali życie, jakie mieli nawyki, czem się zajmowali w domu. Gdy rozrywają domy z owych czasów, zdaje nam się, że milkną i giną głosy tajemniczej przeszłości, która do nas z tych murów, wnęków, ozdób i tablic się odzywa. I przeciw temu już protestujemy słusznie. Na zniszczenie śladów żywego ongi słowa nie pozwolilibyśmy zapewne nigdy, lecz staralibyśmy się o to, aby odżyły one w wyobraźni naszej i mówiły jak najdłużej do nas wszystkich.

Temu obowiązкови w obec przyszłości odpowiedzieć pragnąłem za pomocą swego studyum.

Że dają portret, któż mi z tego uczyni zarzut?! Malarze oddają najgłębsze tajniki uczucia i charakteru, najwybitniejsze namiętności i nałogi, które się wryły na twarzy, a które każdej chwili są widoczne i umiającemu patrzeć są zrozumiałe. Z portretów lepiej wiemy nieraz niż z historii, jakim instynktom hołdowała przedstawiona osoba. Nikomu zaś na myśl nie przyjdzie zarzucić malarzowi niedyskrecyę lub okrucieństwo.

Niech też nikt nie wpadnie na pomysł, że opisuję przy tej okazji nasze społeczeństwo poznańskie. Nie było to bynajmniej moim zamiarem. Do każdego portretu historycznego potrzebne jest tło

wiekę i otoczenia. Rzeczby na tem straciła ogromnie, gdyby oderwać ją się chciało od otaczających stosunków.

Toć stosunki przyczyniły się do »jej« istnienia i konstytucyi fizycznej i moralnej.

Znajomych swoich przepraszam, że nie dałem im pierwszeństwa przed Moją Panią, — nikt jednak z nich tyle mi nie dostarczył materiału gotowego co ona. Mogę ich jednak zapewnić, iż nie zapomniałem o nich i zaopatrzyłem się na przyszłość w potrzebne szkice.

Że piszę tak prosto, bez fantazyi i bez zmian żadnych — i to nic dziwnego. Choćby autor jak najwięcej pokombinował figury swojej powieści i podał z nich typy, pozmieniał tło i akcesorya, nazwiska modeli, zawsze nie tylko będą się domyślali, kogo miał na myśli przy pisaniu, ale co gorsza, wpadną na domysły fałszywe i krzywdzące. Każdego zatem wymieniam po właściwem jego nazwisku, aby go można zapytać się o świadectwo.

Niech mi też darują ci, których tym razem nie wymieniałem wcale. Wszystko musi mieć swoją miarę, a przeludnienie w książce równie jest nie-miłe jak w życiu.

Nie jestem zresztą pierwszym ze stanu duchownego, który wpadł na tego rodzaju pomysł. Przed moją pracą wyszły już drukiem liczne broszurki i dwa tomiki »Streszczenia wykładów — z manuskryptu — X. T. K., prof. hist. kośc.«

Dumny byłbym tylko, gdyby moja praca osiągnęła ten sam skutek co te usiłowanie skreślenia historii Kościoła, które czytając, wije się każdy ze śmiechu. Z historii Kościoła zrobiła się bowiem Siegesallee papieży, tylko bez porównania jeszcze śmieszniejsza i szkodliwsza od berlińskiej galerii Hohenzollernów — w treści i formie.

Ponieważ tamte książeczki ze względu na krytykę nie mogą się ukazać w handlu księgarskim, więc chociaż nie wiem, czy osiągnę ten sam efekt, publikuję swoje studium.

Studium powyższe oddawałem po kolei do cenzury osobom miarodajnym w dziedzinach, w jakie wkracza.

Czytało więc tę rzecz dwóch teologów, profesor filozofii, ekonomista, literat i polityk (poseł do parlamentu i redaktor). Po nich wzięły ją do ręki trzy niewiasty z odpowiednimi kwalifikacjami: pierwsza z nich zajmuje się bowiem filozofią, literaturą i sztuką (w dobrem tego słowa znaczeniu, odbyła bowiem gruntowne studia na uniwersytecie), druga pedagogiką w praktyce i teorii, działalnością społeczną -i ascezą, trzecia wszystkim.

Stwierdzić winienem, że uwagi moich cenzorów i cenzorek trafiły mi do przekonania, tak iż się do nich zastosować mogłem i zmienić niejedno.

Nazwisk wszakże członków jury, chociaż są znane a po części sławne w Polsce, nie podaję, nie chcąc przymnażać im zajęcia ze strony literatów.

Na tem miejscu tylko raz jeszcze za udzieloną mi pomoc serdeczne składam im dzięki.

~~BIBLIOTEKA~~

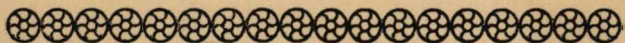
~~URZĘDNI: TOW. ZAJ: UB: w KRAKOWIE~~

~~SEKCJA IV.~~



Spis rzeczy.

	Strona.
Przeztroga	7
Obwieszczenie	11
§ 1. Wejście Mojej Pani w moje życie	13
§ 2. Objaśnienie tytułu	14
§ 3. Nazwa, pochodzenie i przeszłość	15
§ 4. Aparycja zewnętrzna	16
§ 5. Przymioty umysłu	20
§ 6. Charakter wewnętrzny. — Sympatyje i antypatyje	22
§ 7. Zapatrywania socyalne	28
§ 8. Stosunek do stanowych organizacyi społecznych	30
§ 9. Pojęcie władzy	31
§ 10. Pozycja materyalna	31
§ 11. Zamiłowanie oszczędności	32
§ 12. Forma rządów w domu	35
§ 13. Pojęcie o służbie	48
§ 14. Logika własna	50
§ 15. Zmiana rządów demokratycznych na samorząd	53
§ 16. Przedmioty przyjaźni	60
§ 17. Kwestya matrymonialna	72
§ 18. Oświata przez prasę	81
§ 19. Sztuka w życiu Mojej Pani	88
§ 20. Zapatrywania polityczne	100
§ 21. Rozwój patryotyzmu	100
§ 22. Świat pojęć religijnych	107
§ 23. Ramy materyalne życia i działalności Mojej Pani	114
§ 24. Czem była w mojem życiu...	134
Przedmowa	163







Biblioteka Uniwersytetu
MARI CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A20687

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000182578